



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 27 marca 1955 r.

Nr 13 (261) Rok VI

WANDA LEOPOLD

Wśród zagadek konkursu

Ze wszystkich ludzi, posiadających swoje pozazawodowe manie — my, maniacy muzyki, do których się zaliczam, znaleźliśmy się w ostatnich latach w najbardziej chyba godnej pożałowania sytuacji. Jak każda sztuka, muzyka też musi być „dobra i różna”, i takiej właśnie potrzebujemy. Tymczasem ubiegłe lata znuziły nas monotonią, dobrych nawet, ale wciąż powracających nazwisk naszych laureatów i profesorów. Raz Richter, Abendroth, Monique Haas i kilkoro innych z bratnich krajów, z okazji miesięcy czy tygodni przyjazdów — to stanowczo za mało. Za mało na pewno nie tylko dla nas, melomanów, ale przede wszystkim dla naszej młodzieży muzycznej. Nie znajdowaliśmy też w tym czasie wiele pomocy i w Polskim Radio operującym niewielkim zasobem nagrań, ani w wyborze płyt, ograniczającym się niemal wyłącznie do „muzyki lekkiej”.

To „wygłodzenie” było jedną z przyczyn, dla których tak łapczywie rzuciliśmy się na Konkurs Chopinowski. Były i inne. Mobilizował przymiotnik: chopinowski. Bo przecież, jeśli odrzucimy wszelki snobizm, jeśli całkiem szczerze zechcemy sobie odpowiedzieć na pytanie: kto? który kompozytor najbliższy? — ogromna większość z nas odpowie: Chopin. Łączy się z tym, co prawda, pewna niebezpieczna, ale też i pobudzająca cecha. Ponieważ każdy z nas nosi w myślach jakiś własny wizerunek Chopina, jakiś nigdy niewykonany model interpretacyjny jego dzieła — czujemy się bardziej niż w innych wypadkach uprawnieni do oceniania, sądy nasze są ostrzejsze, spory bardziej zajadłe.

Następną mobilizującą przyczyną był sam typ imprezy: konkurs. Możliwość nie tylko wysłuchania, ale pewnego skonfrontowania własnych opinii z sądem wielkiego muzycznego areopagu.

Słyszałam przed konkursem wiele obaw, by nie został zrozumiany przez publiczność zbyt „sportowo”. Słyszałam i opinie, że w ogóle konkurs jest rzeczą niemoralną. Myślę, że w czasie trwania konkursu uprzedzenia te w znacznej mierze znikły. Oczywiście, wszędzie się zdarza snobi i kofluny. I więcej ich na pewno było na sali niż przy tysiącach, otwieranych co dzień o 19-ej, głośnikach. Dość dużo też słyszałam westchnień: „żebyż nasi...”. Na szczęście w tej „konkurencji” są sposoby „dopingowania graczy” są bardzo nikle. A w miarę rozwoju konkursu wszystkich niemal chyba ogarnęły inne wzruszenia i problemy.

Dziś, kiedy przebrzmiały już tony finałów, kiedy za parę dni do wspomnień przejdą recitale i koncerty sławnych jurorów, spisuję te uwagi przede wszystkim z gorącej potrzeby wyrażenia wdzięczności za ten wielki miesiąc muzyki. Wiem, że długo jeszcze budzić mnie będzie w nocy jakiś „prześladująca” fraza i będę wieść w myślach dyskusję o jej wykonanie. Wiem, że niektóre z przeżyć tego miesiąca będą, bez przesady, niezapomniane. Było też w tym czasie wiele wzruszeń o pozamuzycznym charakterze, a przede

cięż nierozdzielnie z konkursem związanych. Choć w drobnej części pragnę wypowiedzieć, czym żyliśmy przez ten miesiąc.

Każdy konkurs chopinowski miał jakąś swoją niepowtarzalną atmosferę, swoje „znaki szczególne”. W tym wszakże było ich wyjątkowe bogactwo i różnorodność.

O! choćby pierwsze wejście do Filharmonii. Nowej Filharmonii — w tym samym miejscu, o tym samym kształcie sali, co stara, niezapomniana. Śmiać się już z tej nowej Wieży, że wejście jak do Delikatessów a wnętrze jak z Cepeii, kłóci nosem Broszkiewicz, że „przeklasyzowana”. Jest w tym sporo prawdy. Ale jednocześnie „ufajnił” się tu Broszkiewicz jako nie-warszawiak, inaczej bowiem zwróciłby przede wszystkim uwagę, że forte nie skrzypią, malowidła na płafonie nie ma, a akustyka dobra — jak była. Do tego pierwszego wzruszenia dołączyło się uczucie ulgi, że wreszcie nasza orkiestra a my za nią nie będziemy się już więcej tułać po Roninach, Teatrach Nowej Warszawy i innych nieodpowiednich zakamarkach.

Wraz z blaskiem tego nowego domu podniósł się też jakby splendor konkursu. Mogliśmy godnie przyjąć gości, a goście opisali jak nigdy dotychczas. Takiego „muzycznego zjazdu” nie mieliśmy u nas po wojnie, a i w całej historii konkursów chopinowskich ten najszerzej ogarnął kontynenty i narody. I ta sprawa, za każdym razem, gdy wychodził na estradę pierwszy w dziejach konkursu Chińczyk — Fu Tsung, Cejlonka — Malinee Peris, których z przedstawicieli państw Ameryki Południowej, któraś z Japoniek czy muzyków z wielu innych krajów — stawała się źródłem wielkich, łączących ludzi, wzruszeń. Fu Tsung i Kiyoko Tanaka okazali się jednymi z najciekawszych indywidualności konkursu. Słuchając ich gry zapomniałszyśmy szybko o olbrzymich przestąpieniach odmienności kulturalnej, które pokonali, poddawaliśmy się ich muzycznej odkrywczości, przechodziliśmy w sferę wzruszeń już czysto muzycznych. Ale przecież, gdy np. pewien uczestnik konkursu z jednego z krajów Ameryki Południowej grał etudy jak hiszpańską serenadę na gitarze, to oczywiście było to wykonanie nie do przyjęcia, a jednak w swym pozamuzycznym sensie — także wzruszające.

Dlatego też, z powodu tej ogromnej roli zbliżenia kulturalnego, jakiego konkurs i przygotowanie do niego już spełnia na świecie, mam żal do polskiej części jury. Wydaje mi się, że gra każdego z polskich kandydatów powinna być traktowana szczególnie czujnie i górali podług inscenizacji Schillera, wznowienie tego samego widowiska projektuje się również w Warszawie, Krakowie i Jeleniej Górze, poza tym mówi się w kołach teatralnych o zmontowaniu w schillerowskim kształcie „Kramu z piosenkami”.

Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna w Łodzi nazwana została imieniem Schillera.



Chopin. Rysunek George Sand

mamy najgłębsze obok Związku Radzieckiego tradycje interpretacji jego dzieł. Ale przede wszystkim dlatego, że każda, choć trochę wątpliwa klasyfikacja pozycji polskiej jest najgorszą antypropagandą konkursu w świecie. Wydaje mi się, że polska część jury może nie dość bacznie zwrócić na to uwagę reszcie jurorskiego grona, bo wypadki takie były i trzeba to na konto doświadczeń do przyszłego konkursu zanotować.

Żaden z dotychczasowych konkursów chopinowskich nie zaskakiwał nas tyloma niespodziankami. Nie tylko w zakresie ujęć interpretacyjnych, ale i w wyborze utworów, a przede wszystkim w „przebiegu” gry tych samych uczestników we

wszystkich trzech etapach. Zazwyczaj, gdy zarysowała się już „człowa grupa”, specjalnych niespodzianek nie było. Jeśli pianista zagrał dobrze większy utwór solowy, było to niemal niezawodną gwarancją, że zagra dobrze koncert. I odwrotnie. Rzadko się też zdarzało, by pianista, słabo sobie radząc z nokturnami czy etudami, „błysnął” nagle w większym utworze. W tym konkursie te niespodziewane skoki były bardzo częste i sprawiły wiele zarówno satysfakcji, jak rozczarowań. I bardzo „podminowywały” atmosferę konkursu. Przypomnijmy sobie np. „wykres gry” Niny Lelczuk i Papierny we wszystkich trzech etapach, Sijałowej, Francoise le Gonidec, Magina, Czajkowskiego w I i II etapie, Sztarkmana i Kowalika w II

i III, i wiele innych kolejnych, in plus i in minus, niespodzianek. Czy wpłynął na to bardzo młody na ogół tym razem wiek pianistów i związana z tym jeszcze większa trema i brak obycia z estradą? Na pewno to także. Ale nie jestem przekonana czy wyłącznie. Jest to tymczasem dla mnie jeszcze jedna z zagadek tego konkursu, którą może fachowcy wyjaśnią. Fakt ten sprawił jednak, że z konkursu pamiętać będziemy nie tyle jeszcze sylwetki pianistów, ich indywidualności, ile poszczególne utwory w poszczególnych wykonaniach. Tak np. z pewnością pamiętałem będziemy sonatę b-moll Sijałowej, poloneza fis-moll Niny Lelczuk, preludia i Polonez-fantazję Francoise le Gonidec, baladę f-moll Papierny, etudy Askenaziego, I wiele innych. Były i in-

dywidualności, które we wszystkich trzech etapach ukazywały nam konsekwentnie cechy swojej interpretacji. Powiem o nich później. Na ogół jednak, choć urodzą talentów był w tym konkursie duży — większość z nich to jeszcze stadium poszukiwań własnego „języka muzycznego” i rozumienia utworów, choć w wielu wypadkach dających już interesujące rezultaty. Próbował Broszkiewicz charakteryzować szerzej pewne, wybitniejsze się, typy talentów („Przegląd Kulturalny” nr 11 „Uczniowie Chopina”) — nie wiem czy nie przedwcześnie. Przyszłość pokaże.

Prawie zupełnie została po pierwszym etapie wyeliminowana naiwnie sentymentalna interpretacja Chopina. Chopin w granicach pensjonarskiego pokoju — jak to sobie przy kims zanotowałam. Właściwa, najciekawsza dyskusja o interpretację Chopina rozegrała się w etapie drugim. To tym bardziej zrozumiałe, że w zakresie tego etapu wchodziły przede wszystkim preludia cis-moll i etudami większe utwory w dość szerokim, indywidualnym wyborze i... mazurki. W tym etapie wystąpiła też jeszcze jedna szczególna cecha tego konkursu: w żadnym jeszcze nie były tak często grywane późniejsze utwory Chopina. Np. scherzo e-dur, Fantazja f-moll, Polonez-fantazja stały się niespotykane częstymi pozycjami repertuaru młodych pianistów ze wszystkich krajów. Czy była to przypadkowa zbieżność? Czy także wskaźnik wspólnego kierunku poszukiwań młodzieży muzycznej świata? To jeszcze jedno z pytań konkursu, na które nie potrafię odpowiedzieć. Trzeba by znać przynajmniej rozpoznawcze w innych krajach nagrania, repertuar występujących tam pianistów.

Z dyskusji zaś o interpretacji, która trwa do dziś, wybieram przykładowo cztery pozycje, te które mnie osobiście najwięcej w konkursie dały do myślenia. Takie jakże dają mi przede wszystkim Ringeissen, Kiyoko Tanaka, Fu Tsung i Sijałowa w sonacie b-moll. Na Ringeissen zrywał się z początku wielokrotnie. Niewątpliwie Ringeissen „gubi” pewne treści chopinowskiej muzyki, ale ile też nowych wydobyla! Podkreślał Broszkiewicz jego typ wyobraźni polifonicznej. Mnie uderzyła inna jeszcze cecha. Ringeissen bardziej niż ktokolwiek ukazał mi nie tylko bachowskie korzenie w sztuce Chopina, ale i prekursorstwo jego harmonii. O tych sprawach się wie, ale w wykonaniu Ringeissen to się słyszy. Ringeissen jest chyba najbardziej wychowanym „ravelowskiej szkoły”. Jest przy tym w jego grze ogromna dyscyplina intelektualna; to co mu mniej odpowiada, to przede wszystkim pewne cechy romantyczne i związane z nimi treści emocjonalne. Ale swoją logiczną i dramatyczną zarazem koncepcję koncertu f-moll przekonał mnie, że stać go na prostej dużej przeżyte emocjonalnych. Ostatnie wtedy skapitulowałam przed całokształtem jego interpretacji.

Kiyoko Tanaka opiera swoją interpretację na wydobyciu mistrzostwa konstrukcyjnego utworu. Czyli to, uplastyczniając ogromnie każdy najdrobniejszy szczegół, nadając mu nowy sens i znaczenie. W jej wykonaniu niesposób nie prześledzić każdej nuty. Jest to interpretacja sugestywna a przy tym całkowicie „odbanalizowana”. Nie wiem jak wyrazić to w terminologii fachowej, ale, moim zdaniem, Ringeissen i Tanaka wnieśli, każde na swój sposób, najwięcej nowatorstwa do interpretacji Chopina. Byli największymi rewolucjonistami konkursu. Nie wiem nawet, czy raz słuchając zdołaliśmy wszystko wysłuchać z ich muzyki.

Fu Tsung, jeden z beniaminków konkursu, z powodu krótkiego pobytu w Polsce uznany przez naszą publiczność „za swojego” (krzyło często takie zdanie, że „ze wszystkich Polaków ten Chińczyk jest najlepszy”), i mnie uderzył od początku. Głębokim romantyzmem, szlachetnością emocjonalnego frazowania i... polskością charakteru tej muzyki. Razi jeszcze czasem jego trochę suchy i twardy ton, zbyt ostry szczególnie w forte, ale poza tym interpretacja Fu Tsunga była chyba najbliższa tym cechom, których tradycje zwykliśmy się doszukiwać u dobrego „chopinisty”. W pierwszych dwóch etapach, zdawało się, posiadała je także w wysokim stopniu Papierny.

Odrębny wypadek to sonata b-moll Sijałowej. Odnotowuję ją i dlatego, że był to jeden z kulminacyjnych momentów konkursowych wzruszeń — i dla pływającej z tego nauki. Sijałowa pokazała, jak można, wielki, ale też „ogranzy” utwór wykonać z całkowitą prostotą środ-

Kazimierz Korcelli

(Dokończenie na str. 7)

Pamięci Leona Schillera

Minał rok od śmierci Leona Schillera. Zabrakło człowieka, lecz nie skończyła się biografia artysty: oto Państwowy Instytut Sztuki przygotowuje do druku wybór pism Leona Schillera, Państwowy Teatr im Jaracza w Łodzi w najbliższym czasie wystąpi z premierą „Krakowiaków i górali” podług inscenizacji Schillera, wznowienie tego samego widowiska projektuje się również w Warszawie, Krakowie i Jeleniej Górze, poza tym mówi się w kołach teatralnych o zmontowaniu w schillerowskim kształcie „Kramu z piosenkami”.

Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna w Łodzi nazwana została imieniem Schillera.

W Alei Zasłużonych na Powązkach w dniu 22 marca odsłonięta została płyta grobowa, tegoż dnia zarzucona kwiatami przez delegację pisarzy i artystów.

Wymienione fakty mówią nie tyle o pozagrobowej chwale, ile o potęgę tego życia, któremu grob nie pokłóżył kresu; bo życie to nie zostało wyczerpane całe, nie wypowiedziało się w działalności do końca, przewrcone tragicznie domaga się kontynuacji. Jak dalece dzieło, plany i

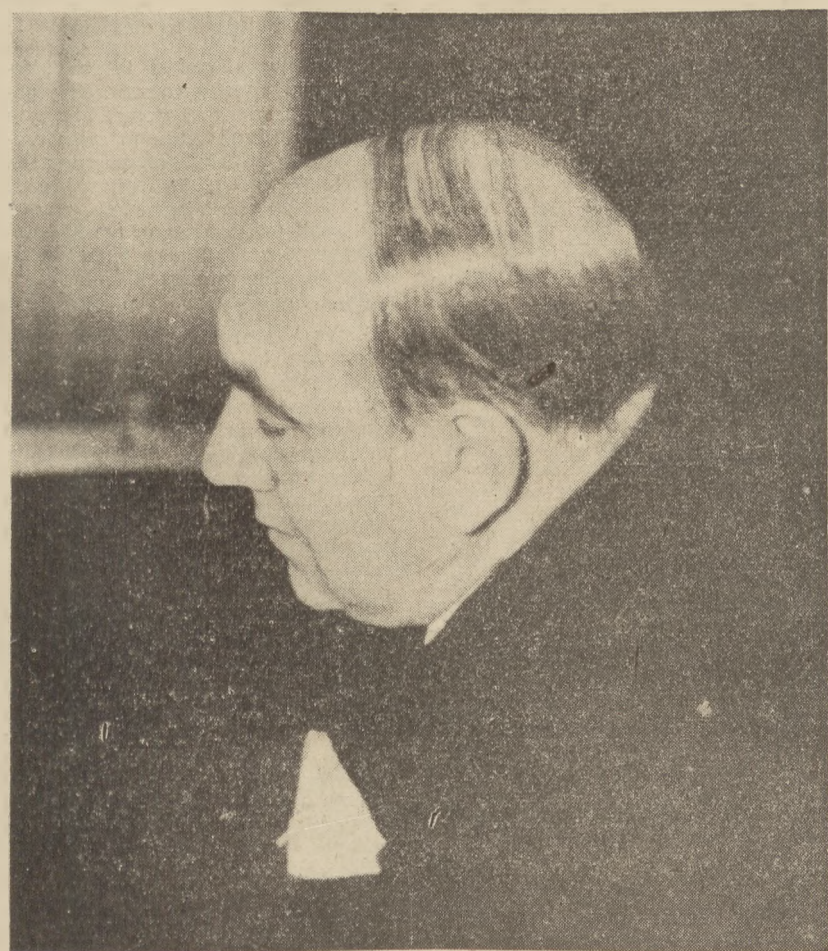
marzenia Schillera wdzierają się w naszą praktykę teatralną, w różne poczynania ludzi związanych ze sceną, świadczy niejedna narada teatralna i niejedna trudność, o którą się potykamy, świadczą prywatne rozmowy ludzi pracujących w teatrze, czasem inicjatywa dyrektora teatru, który wstawiając obecnie do repertuaru jakąś pozycję, jako motyw swej decyzji podaje: „Schiller chciał to kiedyś wystawić...”. A teraz, w Roku Mickiewiczowskim, czyż nie smaku kłksi nabiera stwierdzenie: że nie ma Schillera, że nie zdążył przekazać tej czy innej myśli realizatorskiej, że nie wiemy, jakby spojrzał dziś, nowymi oczami na inscenizację dramatu romantycznego — on, który był autentycznym współtwórcą tego dramatu na scenie.

Śmierć uczyniła kłeskę, ale potężne życie artysty sprawiło, że teatr nie został całkowicie osierocony: przechowane w papierach i w żywej jeszcze tradycji teatralnej pozostały myśli i idee Schillera, niektóre zmrozone za życia autora przez błędy naszej polityki artystycznej, niektóre do dziś dnia pulsujące aktualnością — sięgnąć po nie przyjdzie nam jeszcze nieraz, bo tego wymaga ciągłość kulturalna narodu.

Różnicze i burzliwe kryzysy, jakie trapią dziś scenę polską, zaostają jednocześnie naszą tęsknotę do ludzi o wielkiej duszy, bo jedynie ci mogą dać życie teatrowi i sztuce — bez entuzjazmu, talentu, poświęcenia teatr będzie tylko urzędem dość martwym, choćby nawet „prosperował”. Planiści i ministerialni finansisci być może nie będą mieli powodów do smutku, ale w teatrze takim gnać będą aktorzy i pisarze dramatyczni. Wołanie o sztukę współczesną, o prawdziwy obraz naszego życia i walki, stanie się wtedy jedynie oratorskim sloganem, tym częściej na różnych zjazdach wygłaszanym, im rzecz sama będzie dalsza od realizacji.

Teatr Schillera miał wiele błędów, ale to był teatr ideowy i rewolucyjny, teatr wielki.

W olbrzymim dziele i wyteżonej działalności musiały zdarzać się błędy — punktowano te błędy niesłuchanie skrupulatnie i potem wystawiano Schillerowi rachunki, słone rachunki błędów. Ale kto robił rachunek plusów? Kto dbał, zabiegał i pilnował, żeby Schiller robił to właśnie, w czym był niezastąpiony i w czym był wielki?



STEFAN KOZICKI

Chrobberskim smoku (2)

Dlaczego nie ma w Chrobzu spółdzielni produkcyjnej? Pytanie jest jedno. Pytanie jest proste. Odpowiedzi może być wiele, odpowiedzi różnych.

Przejrzyjmy drugą część listy byłych członków byłego komitetu założycielskiego:

1. Kowalski — zgłosił akces do komitetu pełniąc funkcję sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR w pobliskim mieście.

2. Zając — przystąpił do komitetu pełniąc funkcję starszego mechanika w POM-ie.

3. Tracz — wstąpił do komitetu pełniąc funkcję sekretarza Przemysłowego GRN w sąsiedniej gminie. (Obecnie jest buchalterem PKP).

4. Piękuś — pracownik GS-u.

5. Maj — sklepowny.

6. Nowak — poborca Urzędu Skarbowego.

7. i wreszcie — kierownik szkoły podstawowej.

Jak widać, dwie listy byłych członków byłego komitetu założycielskiego spółdzielni — jedna panto-farzy*), druga urzędników państwowych i społecznych — mają wspólną cechę: polowiczność. Jedni — dawali do spółdzielni samych siebie (bez rodzin). Drugi — dawali tylko ziemię (bez siebie). Wiadomo bowiem, że jeśli pełni ktoś bardziej lub mniej ważną funkcję państwową czy społeczną bez uchybienia godności urzędu do rozrzucaania gnoju spółdzielczego nie pójdzie.

Umiejętności nabyte w czasie ćwiczeń terenowych z ankiety społecznej, odbywanych lat temu parę pod czujnym okiem mojego profesora na UW, przydają się ostatecznie i to właśnie poza uniwersyteckimi murami. Poza kregiem egzaminów i kolekcji — myślę z zadowoleniem, zapisując do notetu wyniki chrobberskich ankiet i... W tym momencie ołówki zatrzymuję się nagle w połowie jakiegoś nazwiska. — Psiakość! Przecież nie komu innemu, lecz właśnie memu profesorowi zarzucano pono anizm-markistowskiej subiektywizm. Co robie? Może uzgodnić, sprawdzić wyniki ankiety u sekretarza Podstawowej Organizacji Partijnej? U sekretarza czy u wóznego gminy? Pełniąc obie funkcje na raz był on w powszechnej opinii wioskowej przede wszystkim woźnym: dobrym, posłusznym — ale ostatecznie tylko woźnym — bez reszty. Ale, ale... Jest już pono nowy sekretarz. Wybrany przed miesiącem. Ba! Ten znów może mi powiedzieć: Nie, drogi towarzyszu, nie wiem. Wróciłem do wsi po długiej nieobecności, przed niewielu tygodniami. Zrezygnuję z pracy jako robotnik przy budowie odległego przemysłowego kombinatu. Na sąsiedzkich wieczorach nie przesładuję. Nie zorganizowałem dotąd ani jednego zebrania. Skąd więc mogę sprawdzić, uzgodniać?

Nie, nie pójdę do sekretarza. Nie chcę usłyszeć od niego najsmutniejszych, bo niewiedzących, bezradnych słów...

Jadę za to do Pińczowa. Do Komitetu Powiatowej Partii.

Szybko turkocą kola powolnej waskotorowej kolejki. Patrzę przez okno z pewnego oddalenia na pięknie, wśród łagodnych wzgórz, przy brzegu urwistej parowy położoną wieś Chroberz, wieś o rewolucyjno-partyzanckich tradycjach. I po raz setny przygotowuję sobie pytanie, które mam zadać na wstępie sekretarzowi komitetu powiatowego: „Powiedzie mi, towarzyszu, dlaczego waszym zdaniem w Chrobzu jest tak, że nawet partyjniacy spółdzielni nie chcą?” Pada śnieg, białe płatki rozmazują się na ohydnie brudnych szybach. Przenoszę się bliżej buchającego czerwonym żarłem żelaznego piecyka pośrodku wagonu. I tutaj szyby brudno płaczą, rozpylają się na szkło niedawno tak uroczą białą w swym locie płatki śniegu. Rozsypany miał węgiel zmienia się wokół edtajnych butów w czarne blocko. Ale ciepło.

— Towarzyszu! To wszystko nieprawda co wam o mnie na wsi nagadali. Nie wiercie im. Nie wiercie nikomu! — mówi współpasażer, który niedawno razem ze mną wsiadł do waskotorówki. Dość młoda jeszcze, sucha, nerwowa twarz zasnuwana koło ust i oczu licznymi zmarszczkami pochyla się ku mnie: — Byłem w komitecie założycielskim a teraz nie jestem. To prawda. Ale prawdą jest też że spotkała mnie wielka krzywda. Wiercie towarzyszu: niesłusznie — o! — niesłusznie zdzielił mnie z sekretarza komitetu miejskiego. Jeszcze raz to powtarzam. Ludzie mówią o słuchach? Ze niby dom kupiłem sobie w mieście? Nie dom a rozpadającą się budę, towarzyszu. Nie kryłem się z tym wcale, rzecz rejentalnie załatwiłem. Zrezygnowałem — tylko pretekst kupilem. Pretekst dla tych, co mnie zniesie na moim stanowisku nie mogli. A teraz biedę kłopoty. Zona klnie, że pieniędzy do domu nie przyniosę. Wola za mną: „Niedojda!” Dałem się wykantować. Dałem sobie zrobić krzywdę. I choć pamiętam com był wart — jestem mały, zaszczuty człowiek, towarzyszu.

— A jak to było z komitelem założycielskim spółdzielni? Dlaczego odeszliście?

— Wy, towarzyszu, ciągle swoje i ja ciągle swoje. Ja na wsi żyć już nie mogę. Zrozumiałem co to znaczy świat, na kursach byłem. Urobiłem na partyjnej robocie ręce po łokcie to i szybko zapomniano o mnie. Jedziecie co Komitetu Powiatowego, prawda? Powiedziecie za mną słowo. Każdej roboty społecznej się podejmę. Choćby za 400, 500 złotych... Albo może powiecie co w Warszawie? Bezrobotny przecież jestem. Chęć całą do życia straciłem. A pracowało się przecież na polu walki klasowej. Długo. Teraz może bezrobotne życie na wsi — to nie życie. To udawanie. Powiedziecie tam co za mną, towarzyszu...

Polejny, wysoki mężczyzna przyjmuje pokorną „po prośbie” postawę, ręce mną cyklistówkę, tylko oczy wpięte są we mnie dumnie i twardo.

— Wyście, towarzyszu, byli w czasie okupacji w AL-u? — pytam, choć wiem to już, pytam o tak, byle tylko przerwać.

— No i co z tego?

„No i co z tego?” Gdzieś około serca czuję nieprzyjemny ucisk. Przykro. Wstyd. Bonaterskie tradycje Chrobza. Dyrektorszy departamentów. Kierownicy wydziałów kadr. Powiatowi komendanci MO. Sekretarze, Szefowie. Dziadacz. Pną się w górę po szczeblach dawnych pięknych zasług, ale czasem okazuje się, że potrzebne są też i nowe szczeble w tej drabinie. Nie każdy umie je obok starych wprawić, zaś upadek z wysokości bywa szczególnie bolesny. Nie ma sterylizowanych tradycji. Szczególnie jeśli tradycje te dotyczą lat nie tak dawnych. Chrobberskie tradycje tworzą przede wszystkim żywi ludzie, a dopiero potem minione fakty historyczne. Są ludzie, którzy wyszli z Chrobza i gdzieś w dalekich miastach lub bliższych miasteczkach z racji swych stanowisk uczą, przekonują innych o słuszności przeprowadzenia pełnej socjalizacji wsi. Są także ich towarzysze, koleśdzy, którzy pozostawili na miejscu — naukę tych wieściel w życie nie potrafili lub nie chcą. (Przypominam sobie co mówiono mi o udziale w niedawnej chrobberskiej zabawie dawnego chrobberskiego partyzanta: „Przychodzi na zabawę, ręce w kieszeniach, rozpiera się. — Wolna droga! — krzyczy, ludzi potraça, że niby — Prawo mam, krew za was przelewałem! — wódkę teraz przelewa, tylko wódkę!” Żyją byli partyzanci AL i GL we własnym ghetcie. Żyją niejako obok tych bez tradycji i urzędów. Czy jest we wsi prawdziwy Front Narodu, nie tylko ten drukowany na wyborczym plakacie? Jest, ale wątpliwi, chory, zarażony umiętnie podsypanymi plotkami i urazami: O tym lub owym z b. AL-owców mówią: Ze proces o defraudację. Ze z partii wywalił. Ze pije na umór. Ze... Plotki? Tak, ale w każdej z tych plotek tkwi ziarno prawdy a wszystkie razem świadczą o istnieniu we wsi niezdrogowej podziału wyznaczonego wzajemną nieufnością. Podziału nie pokrywającego się bynajmniej z podziałem klasowym.

— Czy na jakimkolwiek zebraniu w Chrobzu mówiono o tych sprawach? — pytam.

— Nie mówiono.

— Dlaczego?

— Ludzie nie przywykli... Ciągłe szepczą.

Dawne bohaterstwo zostaje podane egzaminowi dialektyki. A oceny za ten egzamin nie wystawia żaden profesor. Ocena wystawia życie samo. Więc jeszcze raz uparcie ponawiam pytanie:

— Jak to było z tym komitelem założycielskim spółdzielni?

— Ano prosto. Wystąpiłem. Krzywdą mnie spotkała — to i jakże dalej być? Wystąpił i inni. Właściwie roboty ideologicznej nie ustalono. Administrowanie stosowane też. (Znów sypią się znane formułki). Ale teraz Komitet Powiatowy zmądrzał. Już nie przejeżdżają, nie duszą. Uznali, że odczekać trzeba. Niech ludzie sami dojdą. Proszę... Powiedziecie tam za mną słowo...

— Stacja Pińczów! — wola konduktora.

— Tak... To jest — nie... Może coś powiem. Może coś napiszę. Nie wiem. Jeszcze nie wiem, towarzyszu — mówię bezradnie, niewiedząc słowa. Te same, jakie bałem się usłyszeć z ust nowego sekretarza Podstawowej Organizacji w Chrobzu. Patrzę przez szybę, na której rozmazuje się śnieg: jakże smętny i pełen bezruchu jest zimowy krajobraz Pińczowa, tego tak wielce nieproporcjonalnie do swej małości zniszczonego przez wojnę miasteczka.

Nocy tej długo leżałem bezsenne na meblowym łóżku Domu Noclegowego M-me Peterson w Pińczowie. Patrzę na rozwieszoną nad łóżkiem uroczą makatkę z napisem „Gdzie jedność władza tam szczęście wpada” rozmyślałem o podwójnej moralności nie tej jednak, która w sposób wprost proporcjonalny od łóżka zależy. Czy można pogodzić słoneczny blask z szarzą? Dwa jednocześnie z przeciwnych stron wiejące wiatry? Czasem się to zdarza. W wyniku powstaje huragan, trąba powietrzna, która zrywa dachy i strachem napienia serca najodważniejszych.

W Chrobzu na podwórkach sporej części tych najodważniejszych, najpierwszych zwolenników spółdzielni produkcyjnej wzniesiona została z jednej strony wspaniała brama triumfalna (od ulicy), ale jednocześnie pozostała furtka — od tyłu. I nie wspaniała brama okazała się najważniejszą, lecz — furtka. Ta furtka była złą zasadą. Zasadą zakładającą prawo równoległego istnienia dwu moralności i dwu prawd. Jednej własnej, wewnętrznej — drugiej ogólnej, społecznej. Zasadą furtki za triumfalną bramą ukrytej, dwukrotnie zrywając dach nowobudowanego spółdzielczego domu. Nie mógł i nie może istnieć żaden komitet założycielski spółdzielni na zasadzie bramy i furtki, wtedy, kiedy furtka ważniejsza.

„Gdzie jedność władza tam szczęście wpada”...

— czytam wiersz wyszły czerwono wólczką nad łóżkiem. Wiersz — to poezja. Poezja — to kultura. Patrzę na makatkę nad łóżkiem w Domu Noclegowym M-me Peterson i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jeszcze wczoraj uczestniczyłem w Chrobzu przy finale walego wydarzenia kulturalnego: amatorskiego przedstawienia wyreżyserowanego przez kogoś, kto lubi rym do „wpada”. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że głównym bohaterem pozytywnym sztuki wystawionej przez reżyserów zespołu teatralnego im. Komitetu Założycielskiego Spółdzielni w Chrobzu był przeciwny działacz naszej propagandy. Taki, co to na każdą okazję ma referat z powielacza. Który choć gada, deklaruje i podsumowuje — zarówno on sam, jak i słuchacz zdają sobie sprawę, że i gadanie, i deklorowanie, i podsumowanie, to rzecz na pokaz. Ze referent wślizgnie sobie w końcu do auta, odjedzie, zapomni.

— Wydaje mi się, że sztukę taką odegrał ktoś w Chrobzu z zespołem komitetu założycielskiego powstałego przed kilku laty, komitetu przez kilka lat obrażającego niemal bez przerwy, paradygującego, nadsłuchującego umiętnie gesty zawodowego propagandzisty od powielacza referatu. Najważniejszy jest mocny, doniosły głos — pomyśleli organizatorzy komitetu. Jak u tej śpiewaczki w operze, która pięć „ach biegnę, biegnę, biegnę!” — biegnie wciąż i wciąż stoi w miejscu. Śpiewaczka otrzymuje kwiaty i okłaski od wielbicieli. Były przez lat parę dla organizatorów komitetu założycielskiego spółdzielni produkcyjnej w Chrobzu i kwiaty, i okłaski. A kiedy wreszcie przyszło na widownię kilku łobuzów podśmiewających się z tego, że primadonna rozylała się, zestarała — a wciąż gra rolę szesnastolatki, wtedy właśnie dowiodło swych pożytków tylne wyjście przez kulisy — lub inaczej mówiąc — owa furtka od strony podwórza.

Tłumacząc moje teorie na temat kłeski planów współdziałania Chrobza starym działaczom ludowemu, obecnie nauczycielowi Technikum Rolniczego spacerując po rynku pińczowskim w oczekiwaniu na autobus. Nauczyciel nie zgadza się ze mną. Mówi:

— Pcpatrzenie na te pielgrzymki do monopolowego punktu skupu chłopskich sań wyładowanych tyto-

niem. Co drugie sanie — z Chrobza. Chroberz jest wsią bogatą. Indywidualny gospodarz ma się dobrze, gospodarka planuje mu pięknie, wszystkie urządzenia socjalne pod nosem. Nie wyobraża sobie, aby w spółdzielni mógł osiągnąć wyższy stopień dobrobytu. Umie to nawet wyliczyć z ołówkiem w ręku. Taka to i cała filozofia. Dlatego też Komitet Powiatowy dał na razie tej wsi spokój. Propaguj tu dobrobyt pięcioletniej dñiówki przy wieloletnich dochodach dobrych indywidualnych gospodarzy, którzy z opóźnieniem zaczynają słosować się do wymogów gospodarki kapitalistycznej, którzy przechodzą dziś właśnie tę ewolucję, jaką ich bracia we Francji i Niemczech przeszli prawie wiek temu wstecz!

— Ejże, drogi kolego?! Czy naprawdę jest w Chrobzu takie idylliczne dla chłopów indywidualnych życie? Takie życie jak nie przemierzając księżnej Czarotorskiej w jej sztucznej wiosce pasterskiej wśród drzew puławskiego parku? Zgoda, że niektórzy z nich żyją lepiej niż spółdzielcy. Zgoda, że nowe domy budują. Zgoda, że korzystają z ośrody zdrowia. Ale... Czy znacie Ziembę? Czy znacie wdowę K.?

Ziembra staje przed sądem w sporze o między. Dramatycznym gestem wyciąga przed siebie obnażoną rękę — oskarżenie. Ręka Ziembę ma kształt ułamanego, uschniętego konaru, pokrzywiona dziwacznie, cała w bliznach. Kto? Sąsiad. Sąsiad, który miał złość na Ziembę za to, że ten mu się pomógł w między wrodka. („A jak mogłem w między wiedzieć, że niech to ludzie świadczą!” — jego pole licem do mojego pola — ży — woła Ziembra). Początkowo były niegroźne przekrzykiwania przez płoty. Trwało tak do jesieni. Na jesieni tytoń udał się Ziembie jak nigdy. Najpiękniejszy zaś wyrósł właśnie przy samej między. Tytoń ten kłut sąsiada w samo serce, boleśnie. Nawet przez sen szeleścił mu szerokiemi, złotymi liśćmi. I przyszedł dzień, kiedy sąsiad wypadł na pole sąsiada i — dokładnie obliczywszy swoje pretensje — wyrwał krzak po krzaku trzy rzadki tytoń „Ziembę, to najpiękniejszy, tuż przy między. Ziembra wybiegł ratować. Sąsiad za drąg. Ziembra ucieka. Tamten za nim. Ziembra oknał się w drodze do szpitala. W cholewie chlupała krew jak woda w dworskim stawie. Ręki nie czuł.

Wdowa K. kieruje dopiero swą sprawę do sądu. Wdowa K. — to wdowa podwójna. Pierwszy mąż — pracownik urzędu bezpieczeństwa poległ w walce z bandami. Postanowiła więc wyjść za mąż powtórnie. Ponieważ jednak złożyła już podanie o rentę wdowią, postanowiła wziąć po raz drugi tylko ślub kościelny. Po co pieniądze tracić? Aż — nieszczęście! Umiera i drugi mąż. Dorosły pasierb wyrzuca ją z małym dzieckiem z chałupy. Chce się żenić. Ale i ona też ma swoje prawa! Kościelna przecie żona! Więc jedno na złość drugiemu wywozi na rynek to, to owo. To tamto. Jedno przed drugim zamyka drzwi do obory. Krowa stoi nie dojdona. Bola pełne wymiona. Ryzy. Głodne dzieci placzą. Przychodzi podwójna wdowa do gminy, pyta: Co ze spadkiem po mężu? Dla prawa on wam żaden mąż — brzmii odpowiedź. Wdowa znów pyta: — A co z rentą po pierwszym

(Dokończenie na str. 7)

„NOWA KULTURA” W OCZACH CZYTELNIKÓW

Mniej poprawności, więcej dyskusji

Chcę zacząć od spraw ogólnych, które jednak wydają mi się pierwszorzędnej wagi. Otóż po dużym, stałym czytaniu (i „przeczuciu” wielu materiałów — nie sądzę bowiem, by wszystko, co drukuje się, było pasjonujące czy przy tym problemowe) „Nowa Kultura” robi na mnie wrażenie pisma nazbyt poprawnego. Poprawnego po akademicku.

Czas, który współtworząc przeżywamy jest niewątpliwie o wyjątkowej nośności konfliktów, problemów, kwestii dyskusyjnych. Nie zawsze znajdujemy one jednak wyraz w tym, co nam „Nowa Kultura” „do czytania podaje”.

Jest chyba truizmem zwracać uwagę na wyjątkową wagę zagadnień światopoglądowych dnia dzisiejszego. Dyskusja filozoficzna (to jest drugorzędne zagadnienie na jakim poziomie), toczy się dzisiaj szeroko jak nigdy. Sprawy światopoglądowe przestały być domeną nieuczonych wtajemniczonych. Dyskujemy o nich wszyscy. I co ciekawe, co twórcze, każdy w nich ma coś do powiedzenia. Szkoda: że najmniej „Nowa Kultura”, pismo poświęcone literaturze, której niesposób przeżywać w pełni bez dyskusji światopoglądowej.

Jest rzeczą oczywiście słuszną reagowanie przez centralny tygdynek literacki w pierwszym rzędzie na twórczość naszą. Krajową. Istnieje przecież jakaś współczesna literatura w krajach kapitalistycznych. Co przeciętny człowiek interesujący się tymi zagadnieniami może się dowiedzieć z „Nowej Kultury”? Prawie nic. Owszem, dostaliśmy numer „francuski”. Ale to naprawdę mało. Co wiemy powiedzmy o czysto socjalizmie, który jest chyba bardziej

problemem literackim niż filozoficznym.

Z lektury „Nowej Kultury” można by wnosić, że twórczość Słiwaka czy Piętki jest zjawiskiem literackim większej wagi, niż powiedzmy Apollinaire’a, Cocteau czy Eluarda.

Nie znam Zygmunta Kałużyńskiego i nie mam powodu „robić” mu reklamy, niemniej tematyka jego „Podróż na Zachód” będzie jak sądzę powodem, by interesujące te szkie wyśli w trzecim wydaniu. Jeśli już mowa o Kałużyńskim, nie sposób nie wspomnieć Grzegorza Lasoty. Dlaczego ten utalentowany krytyk tak rzadko odzywa się z Waszych łamów? Dlaczego Grzegorz Lasota podejmując polemikę z Z. Kałużyńskim nie zauważa w naszym życiu literackim, nie najważniejszego wprawdzie, ale wyjątkowo ruchliwego Zygmunta Ličniaka, czy Stefana Ličniaka, którzy dokonują metafizycznych hiperkombinacji krytycznych?

Tymczasem „Nowa Kultura” jedynie od wielkich dzwonów podejmuje, w jednym z dwóch artykułach, polemikę z W. Ariszewskim, mimo to, że walka ideologiczna bynajmniej nie ma się ku końcowi. Przeciwnie, jest jedną z szeroko wykorzystywanych, choć zakamuflowanych form walki klasowej.

Trzeba by życzyć „Nowej Kultury”, by wychodziła naprzeciw wszelkim dyskusjom niedopowiedzianym, problemom niedopowiedzianym, postawom pisarskim i światopoglądowym aktualnym w kraju lub zagranicą, nieomówionym, nieprzedyktowanym, otwartym.

Kończąc te pobieżne uwagi życzyć by należało kolegium redakcyjnemu

Kartki z dziennika lektury

Na marginesie redakcyjnego plebiscytu

JERZY ANDRZEJEWSKI

Bardzo mi się spodobał pomysł ankiety rozpisanej przez redakcję „Nowej Kultury”. Dzieci się najlepszych książek dziesięciolecia! Zainteresował mnie zresztą ten pomysł bynajmniej nie dlatego, aby było mi szczególnie sympatyczne ustalanie współczesnych autorów oraz ich dzieł na sposób drabinkowy: ten utwór najlepszy, ten następny już o stopień gorszy, a tamten dziesiąty w stosunku do pierwszego o całych dziewięć punktów mniej wartościowy. Nie, podobna kalkulacja, na pewno przydatna w sporcie, wcale mi w dziedzinie sztuki nie przypada do serca. Toteż ankieta „Nowej Kultury” spodobała mi się z całkiem innych względów.

Wydaje mi się mianowicie, że ankieta taka, mimo pewnej dewaluacji obyczaju ankielowego w ogóle, pobudza przecież osobistą inicjatywę czytelników, skłania ich do wypowiadania osobistych opinii i upodobań, zaspokajając tym samym w sposób wprawdzie skromny, lecz rzetelny ową naturalną ludzką potrzebę wygłaszania sądów osobistych, jaką w stosunku do różnorodnych zjawisk życia, a więc i w odniesieniu do sztuki, odczuwa każdy myślący człowiek.

Gdyby do naszej krytyki poza niezbitymi wyjątkami (Flaszen, Kott, Lasota, Sandauer, Ważyk — wszyscy zresztą, prócz Lasoty, rzadko zabierający głos) można było w latach ostatnich przykładać rzetelne kryteria twórcze, to znaczy, gdyby poza recenzjami i krytycznymi artykułami, jakie się ukazywały w naszej prasie literackiej i nieliterackiej, stały wyraźnie zarysowane jednostki twórców o indywidualizowanych obliczach myślowych i artystycznych, gdybyśmy — jednym słowem — mieli do czynienia z krytyką, która rzeczywiście jest twórczością, a nie zbiorem sformułowań podobnych do siebie jak ziarnka rozgotowanej kaszy — myślę, że wówczas i owa wspomniana ludzka potrzeba wypowiadania osobistych sądów nie byłaby tak dręczona ustawicznym niedożywieniem, jeśli nie wręcz głodem. Któż nie odczuwał niedostygu, gdy np. po przeczytaniu „Pamiętki z Celulozy” lub „Obywateli” odnajdywał później w licznych recenzjach sądy krytyczne w zasadzie bliźniaczo podobne? Czyżby naszych krytyków rzeczywiście łączyła tak doskonała wygładzona wspólnota gustów artystycznych i sądów? Osobiście znam sporo ludzi, którzy sobie np. nie narzbyt wysoko cenili „Pamiętkę z Celulozy”. Owszem, doceniali narracyjne zdolności autora, nie lekceważyli także aktualnej przydatności podobnej publikacji, razila ich jednak skromna zawartość intelektualna powieści, a nade wszystko żywy sprzeciw budził jej styl: morowy, jak to się potocznie mówi, sztucznie krzypki i zadzierzasty, a wywodzący się z nienajlepszych tradycji żeromsczyn. Znam również ludzi (przysięgam, że nie są to wrogowie Polski Ludowej), którzy ceniąc twórczość Leona Kruczkowskiego, nie podzielali jednak zgodnego chóru entuzjazmu, jaki towarzyszył dramatowi „Juliusz i Ethel”. Czyż podobnych przykładów rozmijania się zróżnicowanych sądów opinii pu-

blicznej z ujednoliconym stanowiskiem krytyki nie można znaleźć więcej? Na pewno tak!

Stwierdzamy częstokroć, że nasza literatura nie nadąga za życiem. Ściśle rzecz określając należałoby powiedzieć, że w naszej współczesnej literaturze naród polski nie odnajduje wielu swych spraw, doświadczeń i przeżyć. Ale jednocześnie nie podobna nie powiedzieć, że w ciągu minionych lat również i nasza krytyka w dość minimalnym stopniu dawała wyraz tej różnorodności sądów i ocen, którą zgodnie z wszelkim humanistycznym doświadczeniem i humanistyczną wiedzą o człowieku musimy uznać za elementarne prawo ludzkiego istnienia i rozwoju. Człowiek tylko wówczas może dobrze żyć i prosto rosnąć, jeśli wobec jego własnego „ja” stosowane są miary szacunku i on sam dla swego myślenia o zjawiskach życia chce i potrafi ów szacunek zachować. Żadną statystyką nie wymierzymy szkód wynikających z odstępstwa od tych praw lub z ich pogwałcenia. Myślę, że tylko jedna dziedzina ludzkiej działalności, a mianowicie dziedzina sztuki, szczególnie zaś literatura, zdolna jest do podjęcia tych bolesnych, a niekiedy wręcz tragicznych obliczeń. Ona bowiem jedna, jeśli nie gubi swych najwzlotniejszych racji, niesie w sobie nie tylko odwagę, lecz również potrzebę mówienia pełnej prawdy.

Wracając zaś do ankiety „Nowej Kultury”, może przeceniam cokolwiek jej znaczenie na tle konfliktu: jednolite sądy krytyki — zróżnicowane sądy czytelników. Wydaje mi się jednak, że odpowiadając na tę ankietę niejeden spośród czytelników powiedział sobie nie bez zdrowej satysfakcji: teraz ja powiem, co mi się w naszej literaturze dziesięciolecia podoba i co mi jest w niej szczególnie bliski! Rzecz jasna, że taka satysfakcja musiała ominąć tych wszystkich, którzy przywykli myśleć i mówić na zasadzie echa.

Co do mnie, to zaraz po anonisie „Nowej Kultury” nie omieszkalem sporządzić na własny użytek listy najlepszych, moim zdaniem, utworów dziesięciolecia. Najlepszych? To znaczy takich, które stały się moim osobistym przeżyciem, poruszyły mnie myślowo i artystycznie, ponieważ powiedział coś ważnego i prawdziwego o czasach, które są moimi i także dotknęły spraw moich własnych. Oczywiście listę ułożyłem w alfabetycznej kolejności nazwisk autorów, nie podajęmy się bowiem wyrokować, co np. jest lepsze: opowiadanie jednego autora czy wieloletni dorobek innego pisarza. I tak zatem za najlepsze utworu dziesięciolecia uważam:

1) Maria Dąbrowska. Na wsi wesele, 2) Tadeusz Borowski. Pożegnanie z Maria. 3) Bogdan Czesko: Krzwy koronowe. 4) Stanisław Dygat: Jeziorno Bodeńskie, 5) K. I. Gałczyński: Zielona Gęś oraz Listy z folkiem, 6) Jarosław Iwaszkiewicz: Warkocz jesieni, 7) Jan Kott: Po prostu, 8) Adolf Rudnicki: Żywe i martwe morze łącznie ze znakomitą Ucieczką z Jasnej Polany, która nie została włączona do tego zbioru, 9) Tadeusz Różewicz: Wybrór wierszy, 10) Leopold Staff: Wiktoria.

Jerzy Andrzejewski

„Nowej Kultury” mniej spraw podjętych, a nie dokończonych (jak literatura dwudziestolecia, humanistyka uniwersytecka itp.), więcej zainteresowania się sprawami środowisk literackich pozawarszawskich i więcej informacji i poważnych omówień kierunków rozwojowych literatury europejskiej. Czytelnik w Polsce równie mało wie o współczesnej twórczości angielskiej, wio-

skiej, co radzieckich republik bałtyckich na przykład.

Wreszcie sumując tych kilka uwag prosba końcowa: więcej troski o atrakcyjny w wygląd pisma. Strona graficzna aczkolwiek zdawałoby się jest zagadnieniem typowo formalnym i zawodowo dziennikarskim, jest przecież szalenie ważna.

Irena Michalska

O wygodnictwie i innych grzechach

Jak dotychczas pozostawiamy nam jedynie recenzje „zawodowych” krytyków nie pytając o zdanie przeciętnego czytelnika czy zgadza się z tą oceną, czy nie. A jest rzeczą wiadomą, że opinie te często różnią się między sobą, że krytyk widzi, odczuwa i ocenia dzieło często inaczej niż przeciętny czytelnik czy widz.

Proszę mi darować, ale „Nowa Kultura” przypomina mi czasem wygodne mieszkanie statecznego jęzomiości, bardzo przyzwoitej jakości otoczenia (na szpalach wciąż te same nazwiska) i raczej unikające go jakichkolwiek nowinek (brak nazwisk młodych talentów). Wszystko tu jest na miejscu, poukładane, uporządkowane, zgodnie z ustalonymi już upodobaniami gospodarza. Gospodarz ten żyje ze wszystkimi znajomymi w jak najlepszej zgodzie, unika wszelkich zadrażeń, polemik, dyskusji mogących ten spokój zakłócić. Czasem wprawdzie z petitoowego przedsiönka „Korespondencje” dochodzą odgłosy nie tyle polemiki, ile kłótni między Lasotą i Kałużyńskim, ale, mój Boże — zdarza się to „nawet w najporządniejszej rodzinie”. Poza pewnym niesmakiem kłótnia ta chyba nie pozostawiła żadnego innego śladu. Co więcej, wydaje mi się, że spór swój panowie ci mogliby załatwić niekoniecznie na łamach „Nowej Kultury”. Przypuszczam, że czytelnicy jeśli straciliby na tym, to napraw-

dę niewiele. Zamiast takich kłótni chętnie śledziłbym rzeczową polemikę na ciekawy temat. Prac o charakterze polemicznym znajdujemy w tygodyniku stanowczo za mało, a jeśli zważy się, że wpływają one najczęściej z zewnątrz (Arciszewski) i jak przypuszczam, nie są sprostowane przez Redakcję, wówczas okaże się, że przejawia ona zbyt mało inicjatywy w tym kierunku.

Innym „grzechem” „Nowej Kultury” jest to, że uwagę swoją poświęca wyłącznie „wielkiej literaturze”. Nie zdarzyło mi się na jej łamach przeczytać chociażby ogólnikowego artykułu na temat „malej”, przynajmniej o sensacyjnej literaturze, zdożywającej coraz szersze rzesze czytelników. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że pod lawkami szkolnymi krąży wiele sensacyjnych, w najgorszym gatunku zmiar z okresu przedwojennego, a jednocześnie wciąż jeszcze nie możemy ich zastąpić nowymi, atrakcyjnymi pozycjami. Wiem skądinąd że ci, którzy podejmują się pisania sensacyjnych książek z zasady traktowani są w wydawnictwach jako autorzy drugorzędni, co w dużej mierze jest właśnie „zasługą” pism literackich, które nie mają czasu i ochoty „zawracać sobie głowy” tym rodzajem twórczości.

St. Biskupski
Warszawa

*) Por. początek reportażu w ubiegłym numerze „Nowej Kultury”.

JULIAN WOŁOSZYŃSKI

O „Spotkaniach wrocławskich”

Pionierom, którzy przed dziesięcioma laty przedzierali się przez ospyłką gruzów i ponurą amfiladę zrujnowanych ulic wiodących z dworca do śródmieścia — nazwa miasta nasuwała skojarzenie raczej z Bolesławem Chrobrym i śląskimi Henrykami, niż z czymkolwiek późniejszym. Wrocław był polski w średniowieczu, potem pochłonięła go Niemcyzna — tak mniej więcej ujmowane rzecz. Nowszą polską tradycją Wrocławia nie żyła w świadomości polskiej, a słowo „Wrocław” nie kojarzyło się z żadnym z głośniejszych nazwisk pisarzy ulubionych przez naród (z jednym tylko wyjątkiem Juliusza Słowackiego). Z żadnym sentymentem, wspomnieniem a choćby drobną anegdotą, która takowego uroku dodała kamieniem Krakowa czy Warszawy. Stan taki był ubocznym skutkiem oburzającej dziś każdego polityki szlachty i burżuazji wobec Śląska, polityki bezmyślnej rezygnacji z prawowitej własności narodowej, z obojętności wobec tragedii ludu pruskiego na Śląsku i odwracanie się od spraw dla narodu najżywcotniejszych. Toteż od roku 1945 repatriacji ziem zachodnich i piernistwu w dziedzinie gospodarczej i politycznej towarzyszyć musiała repatriacja kulturalna, a najpierw ożywienie pięknych tradycji polskości Wrocławia i to nie tylko tego średniowiecznego.

Najpiękniejszym, jak dotychczas, czynem literackim z dziedziny owej duchowej repatriacji jest wznowienie przed dziesięcioleciem wyzwoleńca Wrocławia książka Tadeusza Mikulskiego.

*

W „Spotkaniach” zrekonstruował autor wrocławskie epizody głośniejszych pisarzy polskich XVIII, a szczególnie XIX wieku, wykraczając jednak w swym opracowaniu poza cele, jakie stawia sobie zwykłe historyk literatury. Książka ma zawiązywać literacki i należy do zespołu dość bujnie rozkrzewionej po wojnie literatury osnutej na materiałach biograficznych. Większość książek tego typu wychodzi spod pióra pisarzy — „belletrystów” — jedynie nieliczne związane są z nazwiskami historyków literatury.

Tradycje essay'u historyczno-literackiego w Polsce są niewielkie. Dłoby się tu wymienić książkę M. Szyjrowskiego („Polskie perygrynacje do Pragi i Karłowych Warów”), cenne szkice Wacława Borowego o Niemcewiczu, no i pozycje najwartościowsze: Berenta „Diogenes w kontuszu” oraz „Zabawy przyjemne i pożyteczne”. Ile jeszcze — szczególnie po wojnie można by wliczyć utworów, które na mapie gatunków pisarstwa umieszczamy „na granicy, gdzie stykają się — ścisłość naukowa i piękno artystyczne”? Niewiele, szczególnie po wojnie.

„Spotkania wrocławskie”, to świadome zamierzenie odnowienia essay'u historyczno-literackiego. Od literatury typu „vies romancées” różni go zupełna rezygnacja z wszelkich, choćby najsurowiej umotywowanych psychologicznych i historycznych domysłów oraz z prób uzupełniania luk w materiałach biograficznych przy pomocy „wysoce prawdopodobnych” hipotez i fantazji. Autor jest przez cały czas jedynie bystrzym obserwatorem; śledzi i komentuje każdy ruch, każdy gest, każde słowo i refleksję swojej „oflary” — nigdy nie stara się wżyć w nią, wejść w jej skórę, przeżywać razem z nią lub odgadywać, co przeżywała. Dzięki takiej postawie — postawie wierności dla dokumentu i poddania się jemu — autor „Spotkań” pozostaje przez cały czas historykiem literatury. Ambicją jego jest rekonstrukcja — możliwie barwna i szeroka — która prowadzi go nieraz do archiwów i każe wykonać żmudne poszukiwania biblioteczne, nigdy jednak nie prowadzi na pozycje pisarskiej dowolności (N. B. nie jest to u pisarza czyniś nagannym, nie zaleca się jednak historykowi literatury). Gdy brak materiałów, Mikulski rezygnuje z dalszej narracji. Ale też z tego, co posiada, z każdej notatki, z każdego słowa zapisu, potrafi wydobyć wszystkie żywą treść, odwołać wydarzenia i ich otocze materialne i społeczne. Z drobiazgów i uciników powstają obrazki i scenki nacechowane żywością i barwnością.

*

„Spotkania wrocławskie” — dzięki omówionej wyżej postawie ich autora — mają wartość naukową. Badacze znajdują w tej książce opracowane na zasadzie pełnej dokumentacji fragmenty biografii i twórczości pisarzy, którym zajęli się Mikulski. Jest to wartościowa, ale nie najważniejsza materia szkiców wrocławskich. Rzeczą społecznie najcenniejszą jest sukces autora w dążeniu do ożywienia zapomnianej tradycji odzyskanego miasta; „Spotkania” w intencji Tadeusza Mikulskiego mają odegrać ważną rolę społeczno-narodową — mają być argumentem politycznym i przekonaniem opinii polską, że tu, na ziemi dolnośląskiej byliśmy przez cały czas, że podskórny, „nieoficjalny” nurt polskości trwał tu — rzecz zdumiewająca — mimo całych wieków oderwania od organizmu ogólnopolskiego, mimo

długotrwałej germanizacji i braku jakiegokolwiek poparcia i pomocy. Wiemy dziś, że można by napisać pasjonujące „spotkania” nie tylko z pisarzami, ale również z naukowcami, artystami, muzykami, działaczami politycznymi, którzy mieszkali we Wrocławiu, pracowali tu i tworzyli, spiskowali, chodzili wrocławskimi ulicami.

Na książkę Mikulskiego składa się 29 szkiców poświęconych wybitnym pisarzom polskim od XVIII wieku do naszych czasów. Wyliczmy ich gwoli informacji: Konarski, Wybicki, Staszic, Kołłątaj, Niemcewicz, Skarbek, Jundziłł, Odyniec, Hoffmannowa, Stowacki (dwa szkice), Bibiana Moraczewska, Woykowsky, Dembowski, Zmorski, Pol, Ujejski, Lenartowicz, Syrokomla, Jeż, Kraszewski, Asnyk, Faleński, Świętochowski, Kasprówicz, Reymont, Dąbrowska. Dodajmy jeszcze bodaj Bandtkiego, Cybulskiego, Mosbacha i Nehringa, którzy nie mają osobnych szkiców (a szkoda!), których jednak nazwiska przewijają się przez karty książki.

Niektórzy z tych pisarzy zatrzymywali się we Wrocławiu na dłużej, inni przebywali tu kilka dni lub nawet godzin. Stąd wątpliwość: czy można na podstawie tych przypadkowych nieraz pobytów lub nawet podróżnych biwaków we Wrocławiu budować tezę o jego polskości? Przecież na dobrą sprawę można by napisać pasjonujące „spotkania” drezdeńskie, rzymskie czy paryskie i nie świadczyłoby to jeszcze o niczym. Ale też nie tak ujmuję problem autor „Spotkań wrocławskich”.

Chodzi o to, że miasto nadodrzańskie, w którym zatrzymywali się polscy podróżnicy spod znaku gęsiego pióra — nie było dla nich miastem obcym. Nie tylko przez wspominki historyczne. Wrocław i ziemia śląska, których wyrzekła się zarówno szlachta polska jak i burżuazja — głęboko jeszcze w drugiej połowie XIX wieku rozbrzmiewała mową polską, twardą śląską gwara, bliższą melodyce średniowiecznych pieśni i psalterzy, niż współczesnej polszczyźnie. Na ulicach Wrocławia dominował język klasy panującej: mieszczaństwa i urzędników pruskich. Ale na przedmieściach i na wsi, wśród plebsu,

chłopów, biedaków i żebraków wciąż żywa była mowa polska uparcie przekazywana z pokolenia na pokolenie — od średniowiecza. Goście z Polski stawiali uszu przejeżdżając przez wioski i chodząc ulicami Wrocławia; nie trudno było w gwarze ulicznym odróżnić mowę ojczystą, chociaż bardzo różną od własnej. W kościołach słuchali polskich kazań, w sklepach towary reklamowano po polsku; na szydach sklepowych widzieli napisy polskie, a do witryny zasłużonego domu wydawniczego Kornów wabiły ich wzrok książki polskie. We Wrocławiu istniała przez cały XIX wiek silna, stała kolonia polska, którą w końcu wykuszyla ofensywa kultury i hakaty. Głosami polskimi rozbrzmiewał uniwersytet wrocławski; ścigał on młodzież z całego niemal kraju, szczególnie z Poznańskiego i Górnego Śląska, w czasie gdy w Polsce nie był czynny żaden uniwersytet. Tu powstała pierwsza w Polsce katedra literatur słowiańskich związana z nazwiskami Cybulskiego i Nehringa. Obok uniwersytetu działały studenckie towarzystwa naukowe, przede wszystkim pracujące przez 50 lat zasłużone Towarzystwo Literacko-Słowiańskie założone w r. 1836 przy poparciu i opiece znakomitego Czecha Jana Ew. Purkiniego, a zlikwidowane dekretem rządu pruskiego w r. 1886. (Jednym z ostatnich jego członków był Jan Kasprówicz). Uciekinierzy z spiskowcy polityczni znajdowali we Wrocławiu, w środowisku polskiej młodzieży izbę i kęs chleba, pomoc, radę i solidarność.

Lud polski we Wrocławiu i na Dolnym Śląsku nie pisał książek ani wspomnień. Lud żył, pracował i umierał. Przekazywał tylko mowę i pieśni; pozostały po nim jeszcze protokoły w pruskich aktach urzędowych i wzmianki w notatkach podróżników przejeżdżających przez Dolny Śląsk. Te ostatnie starannie odszukał autor „Spotkań wrocławskich” i dał świadectwo prawdzie. Najbardziej wzruszającymi „spotkaniami” w książce są właśnie karty ochroniające od zapomnienia życie ludu polskiego na Dolnym Śląsku, trwałość polskich tradycji tej ziemi oraz pamięć wielkich naszych pisarzy o Wrocławiu, mieście „niegdyś naszym”. Dzięki tej niezaprzeczanej prawdzie możemy chodzić po

ziemi dolnośląskiej jak po naszym prawowitym dziedzictwie dopiero teraz odzyskanym. Takie jest ciągle aktualne znaczenie książki Tadeusza Mikulskiego.

Inne jeszcze znaczenie „Spotkań wrocławskich” polega na tym, że przypominają zapomniane tradycje przyjaznych stosunków między Polakami a Niemcami — wbrew intencjom reakcyjnej pruskiej monarchii. Ci ostatni byli prześladowcami zarówno postępowych Polaków jak i Niemców. Reakcyjne władze pruskie wyszczyły z miasta Woykowskich i Słowackiego, więziły Kasprówicza; ale równocześnie rewolucyjni działacze polscy, prześladowani w kraju, znajdowali oparcie w postępowych kołach społeczeństwa wrocławskiego, w mieście, które Słowacki nazwał „szlachetnym i republikańskim”. Wy-mowę symbolu ma fakt, że w roku Wiosny Ludów, gdy we Wrocławiu na krótki czas zwyciężyła rewolucja, wywieszono w mieście flagi o barwach polskich (jedyny to raz w XIX wieku), a obok nich flagi czarno - czerwono - złote; po raz drugi flagi te spotkały się dopiero w naszych dniach, gdy i w Polsce i w Niemczech zwyciężyła rewolucja.

Świetnym zamknięciem „Spotkań wrocławskich” jest szkic (dodany dopiero w drugim wydaniu) „Hans Marchwita w Pafawagu”. Poprzedzając szkice poprzednich, gdzie na niejednej kartce opisane są sprawy pruskie wobec pisarzy polskich — to ostatnie spotkanie sprawia wrażenie wyzwajające: oto sytuacja się zmieniła; władze polskie Wrocławia goszczą serdecznie, a robotnicy Pafawagu okłaskują rewolucyjnego pisarza niemieckiego, przyjaciela Polski. Szkic o Marchwicie, a także poprzedzający go szkic o Marii Dąbrowskiej stanowią cenne uzupełnienie cyklu o dwa ogniwa ostatnie, łączące przeszłość z teraźniejszością. Z punktu widzenia konstrukcji cyklu są to wiązania niezbędne, zamykające strukturę.

Załowac należy, że szkic pierwszy, jedyny siedemnastowieczny, nie posiada takiej siły i wartości konstrukcyjnej jak szkic o Marchwicie. Essay „Rozmowy babskie”, jakkolwiek dowcipny i dobrze na-



pisany, jest najmniej udany w zbiorze: wyłamuje się z konstrukcji książki i oparty jest na dość blachej i przypadkowej anegdocie.

*

Wszystko co powiedziano poprzednio nie zapewniłoby książce niepowodzenia rangi literackiej, gdyby „Spotkania wrocławskie” były książką źle napisaną, żyjącą tylko ciekawymi cytatami z notatników podróżnych, pamiętników i listów. Na szczęście tak nie jest. Autor wrocławski nie trzyma się kurczowo wrocławskich cytatów, ma jeszcze coś więcej do powiedzenia. W łoku wybornej gawędy literackiej (która z rzadka tylko zwręca swoje szerokie łóżysko stając się naukowym wykładem, wylizaniem faktów) autor ocala mnóstwo drobnych, z punktu widzenia wielkiego procesu historycznego nieważnych — ale przecież pełnych uroku szczegółów życia, obyczajów i przeżyć dawnych pisarzy. Pobocznym tematem całej książki jest np. podróżowanie i obyczajanie podróżne. Roztropny, trzeźwy Niemcewicz odwiedza Wrocław w trakcie jednej z swoich „podróży historycznych”, w kilkanaście lat później tę samą trasę przejeżdża Skarbek, ale już, wzorem Sterna, w „podróży sentymentalnej”. Pol jadąc do Wrocławia przeżywa pierwsze emocje podróży „drogą żelazną”, a parowóz pobudza go do refleksji filozoficznych; inaczej Zmorski, Dembowski — ci przekradają się do Wrocławia chyłkiem, uciekając przed pościgiem policyjnym, przebiegają przez miasto, odetchną i znowu namiętność działania i wierność wobec rewolucyjnych zasad wyciąga ich ze statecznego grodu na trudne drogi spiskowców. Tadeusz Mikulski z lubością i smakiem obserwuje tych różnorodnych podróżników, umie podpatrzeć ich indywidualne zwyczaje, ich śmiech i pozy, albo też ich ujmującą energię umysłową i namiętność życia. W niektórych szkicach epizody wrocławskie stanowią jedynie małą część opowieści; wtedy autor — nie dysponując ciekawym materiałem „wrocławskim” — rozbudowuje nieco szerzej „niewrocławską” introdukcję lub jakiś temat poboczny prowadzący do epizodu wrocławskiego (tak np. w szkicach o Konarskim, Jeżu, Świętochowskim). Ostatecznie czytelnik wciągnięty w zajmującą opowieść nie ma powodu zgłaszać do autora pretensji, że nie utrzymał się przy naczelnym założeniu zaznaczonym w tytule książki.

Szkice wchodzące w skład „Spotkań wrocławskich” odznaczają się dużą różnorodnością, mimo że wszystkie pisane są jednakową metodą. Dzieje się tak dlatego, ponieważ autor, mając doskonałe wyczucie rozmaitych epok, typów twórczości i charakterów ludzkich, stara się każdorazowo ocenić specyficzny styl charakterystyczny dla każdego z omawianych pisarzy. W ten sposób ocala to, co już ze względu na naturę nauki o dziejach literatury pomijać muszą historycy tej dyscypliny nastawieni w swojej pracy nie na konstrukcję literackiego portretu pisarza lecz na dyskursywne rozważenie jego twórczości i miejsca w dziejach literatury. W ujęciu historyka literatury ginie całe mnóstwo drobnych realiów, zabawnych, a nieraz bardzo charakterystycznych szczegółów, różnorodność treści mniej istotnych, a przecież nieoptycznych i nie zawsze słusznie skazywanych na zapomnienie. Te marginalia stanowią cenny surowiec dla esejisty; jeśli dostaną się w

sprawne ręce, powstaje z nich rzecz cenna i pełna uroku.

Takie są szkice Tadeusza Mikulskiego. Czytelnik bez znużenia przechodzi od szkicu do szkicu, od sylwetki do sylwetki. Wraz z autorem obserwuje z sympatią i podziwem pasję naukową rezonującego Niemcewicza, Wybickiego czy Jundziłła, z ironią patrzy na romantyczne pozy Ujejskiego czy złoćciwie wydziwiania Faleńskiego, podziwia impet romantyczny i polityczne zdecydowanie Dembowskiego, Moraczewskiej, Jeża, pracowitość Kraszewskiego, upór Kasprówicza. Uśmiech wywołują szkice o Odyniu, Świętochowskim i Reymontcie, z których autor „Spotkań” jawnie sobie pokpiwa.

Za najlepszą w zbiorze uważam opowieść o Julii Molinskiej-Woykowskiej („Szalona”). Sylwetka Antoniego Woykowskiego, a szczególnie pełnej romantycznej uroku jego żony, ich dramatyczna walka o utrzymanie „Tygodnika Literackiego”, wreszcie prawdziwie tragiczne dzieje Julii Woykowskiej — trzymają w napięciu uwagę czytelnika i budzą sympatię dla tej pary romantycznych fanatyków postępu. Autor szczęśliwie utrzymał całe opowiadanie w tonie dyskretnego umiaru i starał się usilnie nie dopuścić do głosu jakiegokolwiek melodramatyzmu, patosu lub efekciarstwa, które w opowieści o Woykowskich łatwo doszłyby do głosu, gdyby pisał je autor o mniej wyrobionym smaku literackim.

Niepowodzenie „Spotkań wrocławskich” polega na hojnie rozsypanych po całej książce komentarzach, sądach i refleksjach samego autora. Nieraz są to dowcipne charakterystyki póź przybieranych przez literatów, kiedy indziej ironiczny komentarz do ich upodobań, stylu życia i manieri literackiej. Czasem w podobnym tonie utrzymane są całe szkice, kiedy indziej iskra ironii rozbłysła w komentarzu lub we wtrąconej uwadze. Ale najciekawsze są klasycznie związane refleksje zawierające oryginalne charakterystyki pisarzy, zarysy ich sylwetek. Nie są to formuły naukowe — to jedynie odbicie indywidualnego gustu autora rozrzucającego swobodnie myśli, które narodziły się w czasie wieloletniej lektury i smakowania uroków dawnej literatury.

Przy czytaniu tej potocznej, interesującej gawędy literackiej czytelnik zapomina, że jest ona zbudowana na podstawie pracownych i „nudnych” studiów archiwalno-bibliotecznych. Przypominają o tym dopiero przypisy na końcu książki, przeznaczane dla pobratymców profesora w poionistycie. Ale fakt, że czytelnik nie odczuwa ciężaru erudycji to też sukces autora.

„Spotkania wrocławskie” budzą do życia wartościowy, a tak słabo u nas kulturowany gatunek literacki; w tej doskonałej prozie spletały się i harmonizują duże wartości społeczne, naukowe i literackie. Jest to najwartościowsza, jak dotychczas, książka wrocławskiego pisarza o Wrocławiu.

Podjęcie reedycji (rozszerzenie o pięć szkiców) „Spotkań wrocławskich” jest niezaprzeczoną zasługą Wydawnictwa Literackiego. Szkoda tylko, że książkę ubrano w nienajlepszą okładkę K. Wojtanowicza i przepuszczono kilka przykrych błędów drukarskich.

Roman Wołoszyński

Tadeusz Mikulski: „Spotkania wrocławskie”. Wydawnictwo Literackie, 1954.

JAN WYKA

NOWE WIERŚSZE

SZORSTKI WIERSZ

Moje wiersze
nie idą.
Są szorstkie i cierpkie,
podobne
przedwczesnym hybrydom.

Choć na przemian się plecie
płomień i półmrok zamglony —
jest w nich burzliwy kwiecień
i styczeń
z pięknym szronem.

Szorstki, cierpki wiersz.
Lepsze jędrne ziarno,
niż liryczny perz.

ZGUBIONY WIERSZ

Jest żal i gorycz czasem cierpka
za wierszem zwidłym, gdzieś zgubionym.
Może w urwanych głoskach przetrwał
i wicher ocalił go przed zgonem.

Kto wie, czy pożar, bomba, granat
zetrlił myśli, rytm i słowa,
a wiersza kikuta na pół zamarał,
zamilkł, zesiwał i osowił.

Jeśli spisany w guszy żyje,
pod gruzem szorstkim trwa i kona,
to słowa wyszły są niczyje
jak porzucone winne grona.

Ukryty może przywarł w ciszy?
Wszak iskra myśli pono trwała —
Ucha potrzeba, by usłyszeć,
by z ognia pożóg ocalała.

Pamięć zgorzała. Gdy jej nie ma,
jest popiół sypki, miękki, gładki,
jak do wazonów pulchna ziemia,
co wiosną rodzi nieme bratki.

ŻYCZENIE

Niech liść i plucha nie smaga,
bo myśl wrażliwa i naga.

Niech ból nie wkrada się nocą,
bo nerwy czujne go zoczą.

Niech cień nie wchodzi przez okno,
bo klingi światła go potną.

*

Pogódź mnie, pogódź z jesienią,
myślom świeć, niech się płomienia.

Przybliź mnie, przybliź ku wrześniom,
mroki pał wrzosem i pieśnią.

Powiąż pierś, powiąż z wichurą,
szczęble gwiazd chwyć oburącz.

ROZDWOJONA CISZA

Chciałem dziękować — nie wiem komu
za dzień jaśniejszy od naturcy,
za miłość cichą w moim domu,
za to, że cieni krąg się skurczył.

Gdy cierpień obcych ból ucieka,
zdumiony stoisz, trwóźnie patrzysz
czy nie podrzuca zdrowia w lekach
dłoń co złe ślady pragnie zatrzeć.

Dotykasz skroni, badasz tętno,
a krew jak strumień brzegiem zdąża.
Przez ciszę ranek zwinny przemknął,
wraz z tobą w ciszy się pograża.

Tylekroć podstęp małił spokój,
że dwakroć sprawdzasz, czujnie słuchasz,
czy nie narasta wicherem wokół
codziennych cierpień zawierucha.

SŁONECZNE ŚNIADANIE

Świt jest jak bułeczka
rzeżki i rzeźwiący,
ze szczyptą uśmiechu,
z odrobiną słońca.

Jak w aluminiowym
kubku wrzątek mleka
obłok, marszcząc powieki,
od ognia ucieka.

Mnie trud dzienny cieszysz
i z nocą rozstanie,
bułeczki brzeg chrupiący,
słoneczne śniadanie.

Tym z Was, którzy jeszcze nie rozumieli, a uczciwie usiłują zrozumieć.

— Czy oskarżony przyznaje się do winy?

— Nigdy! I czy nie miałbym prawa uważać tego pytania za dodatkową obelgę? Dlaczego z nieufności uczyniliście system? Dlaczego zakładacie, że ustroj jest otoczony wrogami? Dlaczego postępujecie tak, jak byście chcieli mnie zniszczyć? Właśnie mnie, który uczyniłem wszystko, by do was się zbliżyć? Jekien dowodów lojalności? demagogie się jeszcze ode mnie? Więc to nie, że przebywałem dwa lata w obozie koncentracyjnym? Nic, że wrogiem do kraju w trzy tygodnie po odzyskaniu wolności? Nic, że zlekceważyłem ostrzeżenia emigrantów, drwilem z twierdzeń, że dla byłego obszarnika nie ma miejsca w Polsce Ludowej? Nic, że wobec utraty majątku i domu nie zalamywałem rak i nie zamałem się sam, ale wziąłem się natychmiast do pracy, zgłosiłem akces do ludowej socjalizmu? Nic, że pozostałem głuchy na podstępne emigracji wewnętrznej i oferty podziemia? Nic, że oddałem się do własnej klasy karząc się na miłano renegata i koniunkturuwacza? Więc to wszystko nie?

Zadacie jeszcze przyznania się do niepopelnionej winy. Zadacie przeklęcia ustroju, za który walczyłem i walczę. Uczyniliście wszystko, by mi utrudnić i obrzydzić nadrobienie straconych lat, pracę dla siebie i dla was. Długo nie chcieliście przyjąć mnie na uniwersytet. A kiedy po wielkich trudnościach zostałem przyjęty, potraktowaliście mnie jak odmienca, nie dopuściliście do życia koleżeńkiego, żeby po kilku miesiącach wytoczyć mi proces o wrogość. Wasze zacietrzewienie sprawiło, że nie cofnięcie się przed absurdem, zmontowaliście proces na słowach wariata. Wykorzystaliście jego odpowiedź, by oskarżyć mnie o prowokację. Wprawiliście w ruch zawiłą machinę demagogii. Zrobiliście huczek w prasie i w opinii publicznej. Załadaliście od rektoratu usunięcia mnie z uczelni. Zawlekliście przed Komisję Dyscyplinarną. Skazaliście na utratę prawa do studiów. Postawiliście w jednym szeregu z kolaboracjonistami, SS-manami i zdrajcami. Przekreśliście moją przyszłość i mój byt. Z lekkim sercem postanowiliście zrobić ze mnie wykołaję. A teraz, kiedy odwołałem się do Wyższej Komisji Dyscyplinarnej, zapytującie znowu, czy przyznaje się do winy.

Wiem, wiem, że to formalne pytanie. Ale trzeba całego mojego szacunku dla autorytetu Komisji i powag naukowych, które w niej zasiadają, by nie wybuchnąć. Wciąż muszę sobie uświadamiać, że Komisja ma w ręku mój los, że wyrok będzie ostateczny i nieodwołalny. Za dno gorczy i gniewu zebrało się we mnie w ostatnich miesiącach.

Wbrew temu co głosiłem i głoszę, decyzyja powrotu nie przyszła mi lekko. Wrócić jednak uważałem, że miejsce Polaka jest w Polsce. Wrócić chcąc zaprzeczyć twierdzeniu o kosmopolityzmie ziemianstwa. Okazało się, że nie zaprzeczyłem niczemu. Nikt nie chciał wierzyć, że eks-obszarnik może być jeżeli nie komunistą, to szczerym zwolennikiem ustroju. Od początku dawano mi odczuć, że mogę być w kraju co najwyżej tolerowany. Wbrew oświadczeniom urzędowym, że dla wszystkich dobrych obywateli jest miejsce w ludowej Ojczyźnie — rzucono mi nieustannie kłody pod nogi. Zdawało się, że sprawa jest prosta: kapitalizm został pokonany, socjalizm triumfował, kto nie chciał go uznać — został na emigracji, kto wrócił — zastanowił się chyba nad tym. Tymczasem w Polsce odmieniano na wszystkie przypadki słowa „walka” i „wrogi”. „Zie” pochodzenie socjalne utrudniało uzyskanie pracy w ustroju pracy. W każdym urzędzie trzeba było wypełnić lokciową ankietę personalną, której oierwszym punktem był „zawód rodziców”. Dobrych fachowców zastępowano gorzelnymi podstępami, że na tamtych ciążył grzech pierworodny „pochodzenia”. Artyficyka szlachetna odwała z odwróceniem znakiem wartości. Jednocześnie rozrzucał apel do emigracji: — Wracajcie! Nikt nie chce waszej krzywdy, odbudowa potrzeba waszych mózgów i rąk.

Ziołem ile się dało — i nawet więcej — na przekonanie ekscus. Powtarzałem sobie, że bezkrywa rewolucja nie przestaje być rewolucją. Tymczasem przyjacielom i krewnym, ze ich wsty nie są mniejsze, że w politycznym jest dziś prasa, radio i szkoła. Kiedy mówił o „kaskadzie myłków bez odskądzenia” — pytałem, kto spisał oświadczenie do państwowej. Kiedy krzyczeli, że propaganda narzuca fakty, czyż ich generalnymi sprawcami zia, obwinia o antypolitykę i nawet o wywołanie okupacji — wyminiałem propagandę samą, odsądzałem robotników od rękochłostu, pogardę okazywaną cichorem. I nawet kiedy z etatu, z murów i szpał płynęły wściekłość i niechęć dla wszystkich co narzucono mnie kochać i czcić, nawet kiedy szargano drogile mi słowa, pojęcia, imiona — nawet wtedy zadiskałem żeby i powtarzałem sobie: to słusna ocena przeszłości.

Oddałem się od wspólnoty z reakcją. W „swoim” świecie znalazłem opinię balwana lub zdrajcy. Zerwałem stosunki z ludźmi, którzy mogliby dzisiaj pomóc. Czy słusznie? Kiedy wytoczono mi proces, nikt nie stanął w mojej obronie. Reakcjonisci kiwali głowami mówiąc:

— Hej ty, który rozwalasz kościół, a w trzy dni go naprawiasz, wybaw że teraz sam siebie! Cały uniwersytet trząsł się od śmiechu. Cała reakcja powtarzała: — Tak będzie uczynione każdemu, kto zdradzi własną klasę, kto zaprze się swoich przekonań i krwi.

Gdyby ktoś bardzo złośliwy chciał szkalować krajowe stosunki czy znalazłby wdzieniejszy temat? W czasie wykładu psychologii student prawa bada umysłowo chorego, bada go według wszelkich prawideł sztuki, sprawdza jego wiadomości, kojarzenia i sądy, zadaje mu stereotypowe pytania stawiane na klinikach psychiatrycznych całego świata. Pyta go o znane miejscowości, wydarzenia, nazwiska, o leaderów polityki światowej. Badany korzysta z okazji, żeby dać folię swoim politycznym animozjom. Badającemu wytacza się proces polityczny, oskarża go o prowokację. Już nie tylko Temida, ale bogowie zdrowego rozsądku i chłopskiej logiki pozwalają się steryoryzować. Nikt nie pyta, dlaczego oskarżyciel milczał w czasie wykładu i bezpośrednio po nim. Nikt nie myśli, co by się stało, gdyby wariat udzielił prawomyslniej odpowiedzi. Nikt ale zwraca uwagi, że największym reakcjonistą jest

ków, bez względu na ich pochodzenie.

— Co możecie nam powiedzieć kolego, na temat pewnego anonim, który otrzymaliście przed trzema miesiącami?

— Mogłbym powiedzieć, Mikołaju, że postawiłeś jedyne pytanie, którego nie miałeś prawa postawić. Mogłbym powiedzieć wiele rzeczy, których... nie mogę głosić. Powiedzieć. Mogłbym powiedzieć na przykład, że twoje pytanie każe mi wątpić aż o dwóch uczciwościach: twojej i mojej.

Twojej, bo zdradziłeś sekret, zламаłeś słowo, zawiodłeś zaufanie. Twojej, bo zawierzyłem ci tajemnicę, a ty robisz z niej publiczny użytek.

Mojej, gdyż okazuje się, że podaję się za niewinnego, będąc winnym. Mojej, gdyż okazuje się, że uważałem się za niewinnego, będąc winnym.

Twojej, bo nadużywałeś stanowiska i nie trzymałeś się przedmiotu rozprawy. Twojej, bo pytałeś o anonim zamiast dowiadywać się o umysłowo chorego. Twojej, bo popierałeś w ten sposób demagogię i donosicielstwo. Twojej, dlatego że nadajesz rozprawie kierunek, który może być dla niej fatalny.

Mojej. Pytanie każe mi wątpić

z lewicowości. Opowiadać o tym w UB? Wykluczone. Mimo wszystko — swój człowiek. Bezetka. Poza tym, nie miałem dowodów, że ona pracuje w podziemiu, nie miałem nawet pewności. Nie miałem prawa wpłatywać jej w tę ciemną afery. Jeżeli jest winna — niech tego dochodzą sami. Nie chciałem naczać w tym ręk.

Zle postąpiłem. Należało umaczać ręce. Widzę to teraz, kiedy cztery pary oczu wlepione we mnie oczekują odpowiedzi. Widzę przede wszystkim wzrok Mikołaja Maciaka, który pyta: — Co uczyniłeś z anonimem, ty, który się podajesz za lojalnego obywatela Rzeczypospolitej Ludowej?

Dlatego muszę wątpić także o własnej uczciwości. Przecież za tym anonimem stała może placówka dywersyjna lub szpiegowska, może skreśliła go ręka unurzana w polskiej krwi. Przecież człowiek o czystym sumieniu nie pisze w ten sposób. „Dnia takiego a takiego, o godzinie tej a tej uda się Pan do kościoła św. Genowefy, usiądzie Pan w trzeciej ławce na prawo od drzwi, kapeluszy połóż Pan w sposób widoczny, dnem do góry. Szczegóły te potrzebne są dlatego, że Pana nie znam a mam rozkaz Go poznać. Sądzę, że szlachcicowi nie

nie chuski do nosa i słowa „przepraszam”, mieli mi za złe używanie szcztolki do zębów i słowa „dziękuję”. Mieli za złe obojętność dla spraw wyższości i naukę w warunkach obozu. A kiedy się skończyły paczki — mieli za złe, że wolałem być głodny niż zbierać łyżką z ziemi rozlaną zupę. Że wolałem muzeum niż walczyć o byt. Mieli za złe tak bardzo, że kiedy chciałem należeć do obozowej konspiracji — uznali mnie za prowokatora i chcieli wykończyć.

Czy sytość jest wszystkim? Czy nie znamy sytuacji, w których lepiej być głodnym, ale mieć przyjaciół? Czy myślisz, że drobne względy okazywane mi przez władzę lewogrowe mogły ujść uwagi współwięźniów? Czy nie sądziś dalej, że koledy wyolbrzymiali te względy i nie wyciągali stąd wniosków dla mnie przychylnych? Czy kalkuluje się nie dostać raz w mordę od SS-mana, a oberwać dziesięć razy od towarzyszy? Kto może więcej zaszkodzić: jeden zwierzchnik czy setka kolegów? Z kim przebywamy częściej i czyja nieprzyjaźń bardziej wpływa na nasze samopoczucie? Od uderzenia wroga odgradzamy się pogardą; czym się odgrodzić od uderzenia rodaka?

Słyszałem, że jeżeli się zamknie

jalny, co utrzymują fakty? Miłość Ojczyzny — nie słowa. Sentymenty — za plot! Gdzie czyni?

Więc raz jeszcze przeagram białe o zaufanie? Więc nadal będziecie mnie uważać za wroga? Więc raczej ma propaganda, gdy twierdzi, że nie ma lojalnych obywateli wśród ziemian? Że burżuazja jest antynarodowa? Że milsze pieniądze niż Polska? Że tam jest ojczyzna gdzie dobrze? Wylejcie jak psa i będziecie mieć rację! Koniec ze studiami, panie szlachciuci! Nie dla wrogów uniwersytety Polskiej Ludowej! Tęsknimy do czasów sanacyjnych — prawda? Do korporantki i laski z żyletką? A do łopaty — nie laska? Pracy w Polsce jest dość!

Wyobcowany ze społeczności, wyobcowany z uczelni, wyobcowany z młodzieńczego grona. Najlepsze, pomaturalne lata pod okupacją i na dnie życia... Nie zatrzymasz siłą młodości, nie zatrzymasz przemocą beztrości, nie dla ciebie akademicka fantazja, nie dla ciebie niefrasobliwość. Nie potrafięś kochać ani sprawić, by cię kochano... smutny dziadziu bez morgi, pogrobownicze klasy, epigonie Kordianów.

Cztery pary oczu wlepione we mnie, czekające usprawiedliwienia, czekające odpowiedzi. A ja nie mam żadnej, muszę użyć wykrętu, że nie ma związku między sprawą anonim a odpowiedzią szaleńca, że pytanie kolegi Maciaka wykracza poza kompetencje Komisji — że odmawiam odpowiedzi.

— Ach! Odmawia pan odpowiedzi? Ciekawe... Może w takim razie powie pan Komisji czy uracając do kraju wiedział pan o reformie rolnej?

— Sekretarz stawia to pytanie? Co znaczy ten ton, to spojrzenie, ta zmiana nastroju? Prawda, że ostatnia moja odpowiedź nie ułatwiłaby zadania najprzychylniejszemu sędziemu, ale oczekiwałem od Jędrka pomocy, poparcia, przyznania mi racji, zakwestionowania słuszności pytania Maciaka. Kto jak kto, ale Jędrak ma obowiązek mi pomóc.

Po pierwsze dlatego, że jest przekonany o mojej niewinności, a z racji swego stanowiska sekretarz komisji może przelać do przekonania w obcych. Zależy od niego wiele, powiedziałbym — wszystko. Komisja składa się z trzech członków, z tych — Maciak, jako student — prawie nie liczy. Profesor, coż prawdopodobnie drży o swoją katedrę i nie chce się nikomu narzązać, stary piernik drzemający w czasie rozprawy mianowany przewodniczącym po to chyba, by nie przeszkadzał; od początku wypuścił z rąk ster rozprawy. O trzecim wiem tylko to, że jest asystentem katedry, której Jędrak jest adiunktem. W praktyce, choć sekretarz nie ma prawa głosu — on właśnie za decyduje.

Ala jest drugi powód, dla którego Jędrak powinien mnie bronić i — chyba obroni? Bo wierzę w to jeszcze. Jędrak ma względem mnie poważne zobowiązania. Zobowiązania? Poważne? Czy to nie lekka przesada? Że jest synem naszego lokaja? Że pełnił u nas przed laty mało zaszczytne obowiązki chłopca kredensowego? Że dojadł leguminy, której nie zjadłem i donosił garderobę po moim bracie? Że dzięki pomocy moich rodziców ukończył gimnazjum i uniwersytet? Że nie byłby dziś sekretarzem Wyższej Komisji Dyscyplinarnej i nie mógłby mnie sądzić gdyby — nie moja rodzina?

Oczywiście — nie dlatego. Za to wszystko ma prawo mnie nienawidzić. Zrozumiałem to w chwili, kiedy SS-man kazał oczyścić sobie buty. Rozkazał, może nawet — poprosił, nie uderzył, nie podniósł głosu. Ale niezapomniana, nieodpuszczona krzywda polegała na tym, że musiałem się schylić. Największą krzywdą „naszych” chłopów jest to, że długo jeszcze będą przystawać na turkot brzycki, by się ukłonić „na wszelki wypadek”. Że przez całe wieki kłaniali się nie dziedzicowi, lecz koniom. Krzywda istnieje zawsze, kiedy jeden człowiek musi się stosować do kaprysu drugiego, kiedy wolna wola jest ograniczona nie względem na dobro ogólne, lecz na cudzą zachciankę. Stary Sarnacki nie był maltretowany, traktowano go dobrze, pensję otrzymywał regularnie, a z oszczędności mógł sobie wystawić chałupę. A jednak jego syn ma prawo mnie nienawidzić.

Ma prawo mnie nienawidzić i ma względem mnie zobowiązania. Upieram się przy tym, choć nie zdaje sobie jasno sprawy dlatego. Ale wydaje mi się, że z tego powodu wróciłem. Oczywiście — nie w uproszczony sposób, nie przez sentyment do Jędrka czy do rodziny Sarnackich. Czy ja wiem zresztą dlatego? Postawmy sprawę jasno i powiedzmy, że nie wiedziałem co zastanę w kraju. Byłem w tych sprawach tak mniej więcej zorientowany, jak o życiu na innych planetach. Działo się to przecież w czasie wojny lub bezpośrednio po niej, przebywałem kompletnie zmużniany w głębi Niemiec, do radia i prasy nie mieliśmy w obozie repatriantekim dostępu i w dalszym ciągu byliśmy zdani na plotki. A plotki brzmiały fantastycznie i sprzecznie. Jedni mówili, że w kraju jest świetnie, drudzy opowiadali o komunistycznym terrorze, a wiadomości typu tej, że AK jest w podziemiu i morduje Żydów — nie budziły mojego zaufania. Żyłem nie przedrewolucyjnym, ale przedwojennym światem pojęć, socjalizm był moją miłością platoniczną i bardzo młodzieńczą. O rodzinie nic nie wiedziałem i wcale się nią nie interesowałem; jakąż to była rodzina, rodzice nie żyli, b

JERZY STADNICKI

W Y R O K

bratem darłem koty, bo uważałem mnie za komunistę. Takie już moje szczęście, że uchodziłem zawsze za czerwonego wśród białych i za białego wśród czerwonych. Majątek? Był żruiunowany i stanowią własność brata. Krótko mówiąc, żadne osobiste względy nie łączyły mnie z krajem. Wolność spadała na mnie jak worek ze złotem na puszczy. Nie wiedziałem co z nią uczynić. Straciłem lata okupacyjne należało chyba studiować, miałem bogatych krewnych we Francji, wiedziałem, że się mną zaopiekują, rozmyślałem czy tam nie jechać, nie poznać świata, nie zapisać się na jakaś Srebno. Byłem zmęczony życiem, wiedziałem, że w kraju czeka mnie ruina i trud. Chciałem rozpocząć jakieś bardzo nowe życie, ale nie wiedziałem, jak się to robi.

I kiedy nie mogłem zdecydować, co począć z wolnością i z sobą i gotów byłbym robić wszystko, zostałem wszystkim i jechać choćby na Antypody — w tym czasie zetknąłem się z ludźmi, którzy nie wiedząc również co chcą, wiedzieli najdokładniej czego nie chcą: powrotu do Polski. Którzy byli raczej gotowi tułać się do śmierci niż wracać, którzy wolęliby wdziać mundur SS-mański niż polski, dla których zewąliło się wszystko z wyjątkiem prawdy: że Polak przy zdrowych zmysłach do Polski jechać nie może.

Nie uważam swego pobytu w obozie za zasługę: dostałem się tam w łapanie. Podobnie z decyzji powrotu nie czynię przedmiotem chwały: inni wracali z obowiązku, z tęsknoty, z miłości, ja wracałem... na złość. Wracałem, żeby pokazać durniom, że są durniami. Wracałem, bo chciałem im dowiedzieć, że — można wracać. To wszystko.

W niezwykle ciężkich warunkach, w odkrytych, towarowych wagonach, na węglu, na starym żelastwie, na dachach, o głodzie lub kromce chleba — jechałem, jechałem, jechałem, naprzeciw trudom, na przekór agitacji, bo — bo, cholera, inaczej nie mogłem.

Im bliżej domu, tym gorsza jawiła się prawda. Zniszczone Niemcy i Czechosłowacja, „Skoda“ w Pilźnie — setki kilometrów kwadratowych ruin, coraz trudniej wyżebrać kawał chleba lub parę ziemniaków, pierwsze zetknięcie z sówlekiem wojskiem i deprymujące wrażenie po dobrobycie amerykańskim, żołnierze zwycięskiej Armii Czerwonej stojący razem z nami w ogonku po repatriancą zupie, oficerowie pałacy machorkę w gazecie, szalona radość na widok orzeków na czapkach polskich kolejarzy, jakaś pomoc w jakichś „punktach“, kompletna nieznajomość wartości pieniądza, sto złotych zapomogi wydanych na polskie broszury, których nigdy nie przeczytałem, rozmowa z jakimś ponurakiem w pociągu, który do wiedziawszy się kim jestem — radzi mi czym prędzej wracać, lektura jakichś afiszów i gazet, z których nic nie rozumiem, — narastające zniszczenie, znajome dworce w gruzach, brud i nędza w pociągach...

...a wśród tego — ja, szczęśliwy, nie czujący zmęczenia i głodu, upojony powrotem, podrażniający rodzinny krajobraz, cieszący się, że koniec wojny, że nowe życie, że Polska, że wolność, wolność, wolność, zachłystujący się wolnością, dziwiący się wolności, eksperymentujący na wolności, mogąc jechać, mogąc wysiąść, mogąc iść prawą stroną drogi, mogąc iść lewą, znów prawa, znów lewa, nikt mi tego nie broni, nikt nie może zabronić, wolność!

Okolo północy wysiadłem na mojej stacji. Nie było stacji tam, gdzie była, budynek spalony, i tylko tablica informacyjna i betonowy śmietnik, który nie zdążył spłonąć. Do dworu piętnaście kilometrów, jestem nieprzytomny od 24-godzinnej jazdy, ale pojdę natychmiast do domu, dom, rodzina, kocłacja, radość, pytania, żółko, przeleżę chyba z tydzień, a dziś nie powiem od razu kto przybył, niech zgadna, do którego okna zapukam, prędzej, prędzej!...

I wtedy. Cały mój wysiłek skoncentrował się na jednym: nie pokazać po sobie. Niech nie wiedzą jak boli. — Nie ma ich w domu? Wyrzuceni? Majątek rozparcelowany? Pewnie. Nie wiecie dokąd się udali? Nie wiecie. Nic takiego. Przecież jakoś się dowiem. A co u was słychać? Zona zdrowa? Dzieci? Cieszę się. Bardzo się cieszę. No, do widzenia. Pewnie się jeszcze zobaczymy.

I nie. Tablica, betonowy śmietnik, znajome wierzby, noc, droga wiodąca do nikąd. Chciał się zobaczyć, czy mnie bardzo boli. Bardzo. Ale nie dowiedzieć się o tym. Nie powiedziałem słowa współczucia. Nie zapytałem o przeszłość — a wiedzieliście, że wracam z kraju śmierci. Nie zaproponowałem kromki chleba, kubka mleka, wiązki słomy — bezdomnemu, głodnemu, wracającemu. Wy, którzy znaliście drogę do dworu, kiedy trzeba było napisać list, kiedy zachorowało dziecko czy choćby bydło. Potrafiłście wypuścić w wieher i w noc. Wy Polacy, wy chrześcijanie, wy sąsiedzi! Jak straszna musi być wasza nienawiść... Za co? Dlaczego?

Gdybym przewidział tę chwilę — czy byłbym wrócił? Wróciłbym. Wróciłbym na pewno. Na kości dziadów poprzestane polskimi korzeniami, na ich ciała użyźniające polską próchnicę — przysięgam, żebym wrócił. Wróciłbym s t a m t a d w te ciemność, bo ciemność ta jest t a m. Wróciłbym w polską samotność, bo mam z nią otwarty rachunek.

Bo „moi“ chłopci będą ciekawi, czy wróć. Bo Jędrk Sarnacki, jego ojciec i krewni mają względem mnie zobowiązania. Wróciłbym po odbiór drugu. Winni mi są — zaufanie. Wiare, że Kocham polskie wierzby, a nie polskie pieniądze. Wiare, że Kocham polską próchnicę, nawet jeśli wzbogaca kogo innego. Tiudno będzie im w to uwierzyć, bo wierzby rosły na mojej ziemi, a szlachta miała przestronniejsze groby niż chłopci. Tym lepiej, że trudno. Im mniej prawdopodobny i racjonalny był mój powrót — tym lepiej. Bo nasz egoizm i wyzysk był tak irracjonalny i nieprawdopodobny, że trzeba go było zrównoważyć absurdem. Absurd polegał na ekspiacji niepopelnionych win. Na przyjęciu nocą i wichrem nie tego, który wyzyskiwał, ale tego właśnie, który nie wyzyskiwał i nie mógł wyzyskiwać, bo był za młody.

Ale na pytanie Jędrka Sarnackiego, mojego eks - służącego i sekretarza Wzwyż Komisji Dyscyplinarnej, na pytanie, czy wracając do kraju wiedziałem o reformie rolnej — coż mogę odpowiedzieć? Że nie.

— Więc nie wiedział pan o reformie rolnej? Zdawało się panu, że wraca pan do Polski obszarniczej. Spotkało pana przykre rozczarowanie, bo znalazł się pan w Polsce chłopiejskiej. W Polsce chamskiej. Czy może ja pan kochać?

— Panie sekretarzu! Czy to jest rozprawa czy wiec? Jestem oskarżony o zadawanie prowokatorskich pytań umysłowo choremu, a sprawa toczy się o moje uczucia dla reformy rolnej.

— Tak jest. Jedno pozostaje w ścisłej łączności z drugim. Oskarżony pan jest o obrazę ludzi, którzy zaprowadzili w Polsce reformę rolną. Czy można jednocześnie kochać tych ludzi i nienawidzić reformy?

— Domagam się pytań rzeczowych!

— Pan się domaga więcej, niż na to pozwala pańska sytuacja. Powtarzam pytanie: czy był pan zadowolony z reformy rolnej?

— Nie. Proszę o głos. Pozwólmę koledze się wypowiedzieć. Kolega domaga się słusznego pytań związanych z jego sprawą, związanych z uniwersyteciem. A więc — takie właśnie pytanie: czy należeliście do jakiejś postępowej organizacji młodzieżowej?

— Nie. Dlaczego? — Stoję wobec zwartego frontu. Po sekretarzu — Maciaku z kolei uderza w inkwizytorski ton. Przebrałem sprawę. Pójdę precz z uniwersytetu. Co pocznę? Nie wiem. Chwyć za łopatę jeśli będzie trzeba. To będzie straszne. Nie dlatego, że praca fizyczna. Znam ją z obozu. Dlatego będzie straszne, że sprowadzi się do kolegowania z ludźmi, z którymi nie mam wspólnego języka. Wieg go znajde. A przynajmniej — będę go szukał. Pokażę im, że nasza polskość nie polega na noszeniu kontusza.

Nie mam zamiaru kapitulować, choć widzę, że sprawę przegrałem. Nie zniżę się do rejtewady ani do wykretu. Chcesz wiedzieć, kolego Maciaku, dlaczego nie należałem do postępowych organizacji? Wieg słuchaj. Chciałem do was należeć — to wyście mnie nie chcieli. Tu obecny sekretarz może zaświadczyć, że natychmiast po powrocie do kraju chciałem uczestniczyć w życiu politycznym. Było oczywiście, że PPR, PPS i SD nie są dla takich jak ja. Pochodzę ze wsi, chciałem należeć do stfionnictwa wiejskiego. Wiedząc, że pan sekretarz jest aktywistą Polskiego Stronnictwa Ludowego, zapytałem go o możliwości należenia do tego stronnictwa. Odpowiedział: PSL jest stronnictwem chłopów, a nie byłych ziemian. Ale nie martw się. Pamiętajmy o tobie. Szykuje się dla ciebie robota, odpowiedzialna robota, trudna robota. Ale jeszcze nie czas. Zaczekaj trochę. Potem zobaczymy. Zobaczymy. Widzimy.

Ja, oskarżony, oskarżam was o stosowanie podwójnej miary. Uczyniłem wszystko, by do was należeć od powrotu poczynszy, na prośbie o przyjęcie do PSL skończywszy. Na uniwersytecie trzy czwarte kolegów jest burżuazyjnego pochodzenia. Niech Maciaku powie, czy uważa ich za bardziej postępowych ode mnie. Nikt im nie powiedział marne słowa, natomiast ja, który się garnąłem do was, a musiałem przebyć dalszą drogę — zostałem oskarżony o wrogosć.

Pytam: dlaczego mi nie zaufano? Dlaczego założono apriorycznie moją reakcyjność? Dlaczego kontynuuję się walkę z fikcyjnym nieprzyjacielem? Znam moją klasę, lepiej od was, twierdząc, że jest powalona na łopatki, że się już nigdy nie podźwignie i że tak jest dobrze. Ale klasa to jedno, a ludzie to dwa. Powiem wam przypowieść o ludziach.

Znaliście ziemian rozpięających się w powozach, bijących spicrutą po twarzach, głoszących przeciw każdej reformie społecznej, programowych przeciwników świeżego powietrza i światła. Byli tacy. Było ich dużo. Była prawdopodobnie większość, a dowód — że stoje teraz przed wami. Znam te grzechy, znam gorsze, znam najcięższy: u-patriotycznienia interesu, nazwania klasy — Ojczyzna. O tym wszystkim nie potrzebuję wam mówić.

Natomiast — czy wiecie, że wielu z nich zginęło za Polskę w roku trzydziestym dziewiątym, że bardzo wielu spędziło okupację w obozach, że niektórzy byli tam na lepszych prawach, ale większość zmieszała swe popioły z popiołami

robotników i chłopów? Czy wiecie dalej, że młode ich pokolenie różniło już dobrze naród od klasy i kosmopolityzm od internacjonalizmu?

Czy wiecie, że kiedy ta bezelowska młodzież została pozabawiona majątków i zaludniła bruki krakowskie, poznańskie i warszawskie — nie zaczęła smęcić i biadać nad utraconą świetnością, ale chwyciła za narzędzia pracy fizycznej. Znam młodych arystokratów, którzy z dnia na dzień stali się szoferami tragarzami i pucybutami.

Powiecie: Znamy się kolego! Jeden poszedł służyć — może się krył przed UB — a dziesięciu handlowało dolarami. Owszem. Kto miał dolary — ten miał, a kto był zjnowany, zostawał urzędnikiem krawcem, leśnikiem. Odpowiedcie: Tuś nam! Został leśnikiem do spółki z leśnymi ludźmi. Nie przeczę, że wielu z nich jest w podziemiu. Ja mówię o tych, dla których Polska jest Polską niezależnie od barwy.

Czy wiecie, że oprócz tych młodych mających we krwi fantazję a przed sobą życie — istnieją starzy i chorzy, zdziwaczali i zropani, których świat runął w przepaść i którzy czują się równie nieśczęśliwi i niepotrzebni, jak ich antyki rozgrabione przez chłonów jak sewerska porcelana, z której jedzą kury, jak makaty buczone służące za sienniki? Czy wiecie, że uległa zniszczeniu nie tylko klasa, ale i pewna kultura, pewna tradycja pewien obyczaj?

Czy wiecie, że tego wszystkiego szkoda?

Odpowiedcie: może i wiemy. Stało się tak z waszej winy. Nie trzeba było zmuszać nas do rewolucji, w której dobre plonie ze złym.

A ja odpowiadam: jest dialektyczna prawda, że nikt nie rezygnuje z przywilejów bez walki. A skoro przyszło słuszne zwycięstwo,

ców, alowców i Żydów, łożyla na wszelkie akcje — wszystko razem w warunkach liegenschaftu, z Niemcami we dworze i w zrzuconym majątku, którego najlepsze ziemie zamienione zostały na łonisko.

Po wojnie przeniosła się do miasta. Zapewniał was, że nie ma dolarów ani funtów. Maż przebywa nadal w Anglii, chciała do niego pojechać, ale on się sprzeciwił. Obiecuje, że wróci skoro tylko go zdemobilizują. Ona jest w nędzy z czwororoletnimi dziećmi, z których najstarszy zdążył już wylecieć z gimnazjum za polityczne wybryki. Matka utrzymuje się na powierzchni udzielając lekcji języków. Raz na tydzień wsiada na rower i przywozi z dawnego majątku ser, jajka i masło dla dzieci. Pytałem jej, czy się nie wstydzi żebrac u swojej dawnej służby. Odpowiedziała: — Ani trochę, odbieram przecież swoje. Uważa się nadal za prawną właścicielkę majątku, nie wstydzi się biedy i cieszy się gdy się jej uda wyprowadzić w pole nasze władze. Jest pełna animuszu, bo wierzy w Białego Konia. Ale najdziwniejsze — że nie tylko ona. Tamtejsi chłopci są — wieście albo nie wieście — większymi reakcjoniastami od niej. Powiadają: — Niech pani dziedziczka to weźmie, my wiemy, że pani do nas niedługo wróci. Sołtysem jest jej dawny lokaj. Powiedział jej kiedyś — Dopiero po trzeciej wojnie będzie dobrze. Przepędzimy hołotę i nastana rządy szlacheckie i chłopiejskie. Wiecie, jak moja znajoma komentowała te słowa? — Te chamy cieszą się, że obdujemy razem Polskę. Rozczarują się wkrótce, ale mi ich nie żal, bo teraz dopiero nauczyłam się ich nienawidzić. T a k b e d z i e m y t r z y m a ć z a m o r d e !

Powiecie: — I có z tego? Nie mieliśmy złudzeń, wiedzieliśmy, że zie-

łudzeń. Stary Sarnacki nie grzeszył inteligencją. W jaki sposób mogli go wybrać sołtysem? No cóż, w okresie przejściowym dzieja się nie takie rzeczy. Mój proces najlepszym dowodem. Mniejsza o Sarnackiego. Ale Ernestowa? Czy nie powiedziałem za wiele? I tak załatem najgorsze. Widziałem się z nią jeszcze raz parę dni temu. Byłem przerażony zmianą. Oczy podkrążone, rysy ściągnięte i ten niegąsnący papieroś przy wściekłym kaszlu, zaniedbana w ubiorze... Spytałem ją, dlaczego się nie leczy, machnęła tylko ręką. Oczywiście martwi się o męża, ale przecież to kwestia miesięcy, może tygodni. Kiedy nie miała o nim wieści całymi latami, kiedy każdej chwili mógł zginąć, trzymała się bez porównania lepiej. I jeszcze w czasie naszego pierwszego widzenia była pełna werwy. Trudności materialne? Chyba nie, mówiła, że teraz powodzi jej się dużo lepiej, ofiarowała mi nawet pomoc materialną. — Słyszałam, że robia ci wstępy na uniwerku? Widział, mówiłam ci, że oni chcą nas zniszczyć, a ty jeszcze ich bronisz... Zawsze tak samo naiwny. Chcesz pieniędzy? Mam teraz dosyć, nie krepuj się, przecież to tak-że twoje pieniądze. Nie weźmiesz? Konsekwentny Don Kichot? Jak chcesz, ale pamiętaj, że są do twojej dyspozycji na każde wezwanie. Dzieci? Jest i dla dzieci, ja ich na pewno nie skrzywdzę, powtarzam ci, że mam teraz dużo pieniędzy. Skąd? No... jestem zapobiegliwa... — Dla drugich. Ale nie chcesz się leczyć. — Nie chcę. Naprawdę są chwile w życiu, kiedy człowiek wierzący boleje nad tym, że nie wolno mu z sobą skończyć. Ale jeżeli wykończy go praca... — Co ty mówisz! Masz przecież przed sobą życie. Chłopców, Ernesta. — Tak. Mam Ernesta... Wiem że jestem potrzebna. To straszne, ale jestem potrzebna na to, żeby nauczyć synów zemsty. Wiem, że to nie chrześcijańskie podejście, że trzeba mówić nie o zemście, lecz o karze. Wiem, niech będzie karą w oczach Bożych, ale w moim odczuciu — zostanie zemstą. — Opamiętaj się, przecież... — Nic nie mów, nie rozumiemy się nigdy. Masz za sobą obóz koncentracyny, ale mówię ci, że nie wiesz co to krzywda. Uważam cię za człowieka porządnego, lecz otumanionego. Może dlatego, że jesteś młody. Kiedy dojrzysz, ożenisz się — zrozumiesz niejedno. Może kiedyś sama ci powiem... Dziś — nie wolno mi zresztą nie mam siły... — Stało się coś? — Stało. Nie pytaj się, bo ci nie powiem. Nikt o tym nie wie. Właściwie — wie jeden człowiek, ale to... jakby nie człowiek. Lokajska dusza...

Zachowam w pamięci ten obraz bladej kobiety, ze ściągniętymi rysami i fanatycznym wzrokiem. Bez charakterystyki mogłaby grać rolę Elektry. — Nie uważa pan na pytania. Powtarzam: czy panu wiadomo, że pański brat pracuje w redakcji antypolskiego dziennika, stara się o obywatelstwo brytyjskie i ożenił się z Angielką? — Co? Co? Przesłyszałem się? Mój brat? Ernest? To nonsens! Chociaż...

Dlatego Ernestowa była taka zgnębiona? Dlatego mówiła, że „coś się stało“? I wspomniała o samobójstwie? Myślałem, że przesadza, ale ona nie należy do ludzi rzucających słowa na wiatr. Zresztą, jej kamienna twarz, jej zachowanie mówiły więcej od słów. Jakby się w niej coś załamało. Ona, taka energiczna, taka zuchwała, robiła wrażenie starej. Tak. To jest stara kobieta. Okropne. Więć Ernest... Bydło! Właściwie — mogłem się tego po nim spodziewać. Zawsze był taki. Zdradzał ją. Nic o tym nie wiedział. Była mu wierna... powiedziałabym... aż do przesady. Tyle lat wojny, takie propozycje... nie chciała patrzeć na żadnego. Jej miłość do Ernesta miała w sobie coś z kultu: ta fotografia, ta lampka, te kwiaty — to był jakby ołtarzyk. I powtarzała w kółko chłopakom: — Pamiętajcie, że tatuś wróci. Musicie być dzielni, musicie być godni tatusia, który walczy za Polskę. Ha, ha, ha! Pięknie walczyli! Cudownie! Za biurkiem jakiegoś szmatławca. Przy boku jakieś... Ale! Rzecz uderzająca! Jędrk powiedział: o z e n i ł się z Angielką i s t a r a się o obywatelstwo brytyjskie. Jedno w czasie przeszłym, drugie w teraźniejszym. No cóż. Możliwe. To znaczy tylko, że Anglicy łatwiej udzielają rozvodu niż obywatelstwa. Dobrze. Ale skąd taka ścisłość informacji? Skąd obcy człowiek wie rzeczy, których nie wie rodzony brat? Dziwne. O tym nie mógł wiedzieć obcy człowiek. Ernestowa twierdziła nawet, że nie wie nikt. Zaraz, zaraz! „Wie jeden człowiek, ale to jakby nie człowiek. Lokajska dusza“. To Jędrk? Nonsens. Skądże ta konfidencjonalność między nimi? A jednak... Innego tłumaczenia nie ma. Byliżby kochankami? Bzdura. A przecież coś ich łączyło. Nie miłość — wieć co? Polityka? To by się doszły zgadzało. Ernestowa miała ostatnio pieniądze, duże pieniądze, nie od męża, więc — skąd? Szpieguje? Tak przypuszczam już dawniej. „Ernestowa mogłaby mnie sobie przypomnieć...“ Chwileczkę! W głowie mi się maci, spokoju, spokoju! Ta znajomość moich stosunków rodzinnych... Jędrk byłby autorem anonimów? Ale w jakim celu? Anonim był prowokacją. Czyja? Podziemia Jędrk pracuje w podziemiu? On, aktywista PSL? On, kandydat na profesora i sekretarz Wzwyż Komisji Dyscyplinarnej? Przyjmijmy na chwilę to założenie. Wysłał do mnie anonim. Wspomniał przecież że szykuje się dla mnie polityczna robota „ważna i odpowiedzialna“.

Nie stawiam się na wezwanie. Dalej: on nie wie co zrobiłem z tym listem. Na publicznej rozprawie pada pytanie Maciaka. Jędrk dowiada się, że pokazałem Maciakowi ten list. Myśli: Zaniósł na UB. Mogą dojść prawdy. Jest poszlaka. Trzeba gościa wykończyć. Od wyłaniania z uniwersytetu krok jeden do aresztowania. I facet nieszkodliwiony. A jeśli spróbuję spać? Nie ma dowodów, a ja się zaasekuruję, wykaże, że go zwalczałem, przyczyniłem się do wywalenia go z uczelni. Jasne! Dlatego na początku rozprawy popierał mnie, a od pytania o anonim zmienił taktykę. Ale to wszystko hipoteza, cofnijmy założenie — coż zostanie? Domyśli. Bo przecież Jędrk jest członkiem PSL, legalnego i potężnego stronnictwa. I w jakim celu współpraca z podziemiem? Wywiad? Jakież on ma możliwości szpiegowskie na uniwersytecie? Może i ma. A te kontakty z Ernestową, z majątkiem... Niemcy budowali tam lotnisko. Podobno powstają jakieś obiekty wojskowe. A na dobitkę — te kontakty brytyjskie... Bo jak wytłumać, że słyszał o tajemniczym małżeństwie Ernesta? Ale w takim razie PSL, stronnictwo do którego chciałem należeć... robi podwójną robotę? Jeszcze jeden nonsens: Jędrk to nie PSL. Ale jeżeli takich jest więcej? Mamy już drugiego. Starego Sarnackiego, sołtysa, którego mam sądzić rządy chłopieko-szlacheckie, przepędzenie „hołoty“, może monarchia? Et, stary ramol! Ale coż to za stronnictwo, które skupia podobnych ludzi? A Mikołajczyk... też ponoć niewyraźny. Ktoś powiedział: krzyżówka białego konia z osłem, muł, który jest zawsze bezpłodny. Okazuje się, że płodny i to groźnie płodny, że to nie przedstawiciel czworonogów, ale robactwa, najpłodniejszy z gatunków. Legnie się wszędzie, wślizguje wszędzie na wsi, na uniwersytetach, w ministerstwach, nie daje się wytepić, w niekorzystnych warunkach tworzy stadia przetrwalnikowe, kombinuje z podziemiem, z ziemiannstwem, z emigracją, z kim się da, nawet z mną, żeby z chwilą, kiedy murzyń jest niewygodny — kopnąć, unicestwić...

— Czekamy na odpowiedź, czy słyszał pan o wynarodowieniu się brata.

— Nie słyszałem i bardzo się dziwię, skąd pan słyszał, panie sekretarzu.

— Obowiązkiem sekretarza jest słyszeć o rzeczach, które podpadają pragnęliby zataić. Przysługuje panu ostatnie słowo. Czy pan z niego skorzysta?

— Nie.

— Wobec tego Komisja udaje się na naradę.

— Po co to „się“? Trzeba było powiedzieć „udaje naradę“. Radzicie. Znam wyrok z góry. Mogłbym właściwie pójść sobie do domu czy na spacer, bo nie wiem dokąd się udać. Ale zaczekam. Zaczekam na Maciaka. Przysięgam, że uczestniczy w tej parodii sprawiedliwości, ale muszę spojrzeć mu w oczy. Bo ja widzę z tej sali bez porównania mądrzejszy niż do mnie wszedłem. Ciekawym, czy i on coś skorzysta.

— Ale — coż on może skorzystać? Czy stało się coś, czego by nie przewidział? Ten proces i ten homerycki wyrok będzie potwierdzeniem jego też i odpowiedzią na wszystkie moje pytania. Pytałem Maciaka: Z kim walka? Gdzie wróg? Wróg obraduje obok. W tej chwili Sarnacki terroryzuje Komisję. Mówi przewodniczącemu: — Pan profesor wie, jakie są czasy. Kto popiera takie elementy... Nie potrzebuje kończyć. A może dodaje na ośłodek: — Pożytecznie, żeby jeden człowiek zginął za naród. Ratujemy to jest do uratowania. I starzec ulega szantażowi. Z asystentem nie ma kłopotu. Mikołaj Maciaku... czy zawiodłem się na nim? Wszystko przepowiedział. Walka klas jeszcze trwa, Dlatego mi nie ufają? A jak mogą ufać w tych warunkach, wśród przewodniczących, Ernestowych, Sarnackich, Mikołajczyków! Kiedy robactwo legnie się wszędzie i potrafi nawet spożytkować wariata. Ten proces — co za parodia, ale jaka koronkowa robota! Arcydzieło szantażu! Ileż takich szantaży, procesów i świnstw dzieje się na wszystkich szczeblach i będzie się dzieć, nim oddzielimy ziarno od plewu. Iluż niewinnych uciერი. Iluż wrogów będzie się śmiać!

A ja pytałem, dlaczego mi nie ufają, pytałem retorycznie — gdzie wróg! Uwierzyłem, że wszystko jest świetnie, Hitler w urnie, Churchill za morzem, ja w paradisie. Dobrze, że wyleją mnie z budy! Świetnie mi zrobi taka terapia wstrząsowa. To mnie wyleczy na zawsze z utopijnego socjalizmu z urojenia, socjalizmu mimo woli. Dobrze mi tak! Chciałem urządzić się wygodnie w Rewolucji. Pomnożyć zastępy śpiących rycerzy. Umacniać armię zbawienia. Tulić do łona owce i wilkołaki. Mieć dla każdego coś miłego.

Za łatwy byłby okres rekrucki. Za rzewna pieśń Rewolucji. Za lirowe pożegnanie z wszystkim. Za dużo powiazało z ciemniznami. Zbyt wielu przyjaciół wśród wrogów. Dobrze się stało jak się stało! Niech skazują mnie reakcjonistów! Niech walka przybiera na sile!

W takim nastroju witam wyrok, który brzmi:

— Orzeczeniem Wzwyż Komisji Dyscyplinarnej dla studentów zatwierdza się wyrok poprzedni, zobowiązując oskarżonego prawa do studiów na terenie wszystkich uczelni Polskiej Ludowej na zawiesz. Orzeczenie jest ostateczne i nieodwołalne.

W protokole odnotowano votum separaturn członka Komisji, Mikołaja Maciaka, studenta prawa.

Jerzy Stadnicki

JAN ZALEWSKI

CHOPIN

Mieczysławowi Jastrunowi

Co jest w tym zamyśleniu, w cieniach rozsypanych,
W światłach do bólu ostrych, i przygasających,
W ciszy tających się ognisk, gasnących nad ranem,
W mgłach wstających z wrzosowisk, do nieba idących

Co się kryje w rozgwarze rozsypanych tonów,
W dźwiękach zgodnie płynących, a walczących z sobą
Czy słowa są w tych dźwiękach? Jaką mówią mowa...?
Ciebie, ciebie się pytam, powstały z kokonu

Motylu nieuchwytnej, biegnący nad drogą
Białe czarnych klawiszy zasłuchanych w siebie,
Nad strumieniem, co hywa i ciszy strumieniem
I lawiną wstającą ze skalnego progu.

Przysiadasz i podrywasz się w swym zwinnym locie.
Czyżys ciszy się uląkł, czy przestraszył burzy,
Może drogę zmyliłeś w swej lotnej podróży
Zasłuchany w płynącą z daleka tęsknotę?

Jaką mi dasz odpowiedź, jakim zagrasz dźwiękiem
Motyłu, ptaku drżącego nad gniazdem swych tonów...
Cisza płynie pod plafon, cisza po koncercie.
I sam jeden zostałem. Bowiem nie mam domu.

*

Mgła idzie nad polami. Wznosi się i krąży,
Wierzby płaczą w welonach — panny opuszczone
Świątek wznosi do góry oczy zalzawione
Na mgłę idącą w niebo. Czy dojdzie? Nie zdąży

Wiatr ją porwie nad lasem, rozedrze na strzępy
I zwyciężajny, nad wodą, dom ludzki odsłoni.
Strzał. Pochyla się człowiek. Skąd na niebie sępy?
Skąd ten tętent pędzących, rozszalałych koni?

Dzwonki, dzwonki u karet. Droga ginie w kurzu
Droga, która się kończy, bo nowa zaczyna.
Drzewa stoją szeregiem. Drzew jest tutaj dużo
Ta kobieta... ta pani, kogo przypomina?

Mgła idzie nad polami. Wznosi się i krąży
Wierzby płaczą w welonach — panny opuszczone,
Błądzą po klawiaturze smutki zamyśłone
I pieśń płynie najbliższa. Czy dojdzie? Czy zdąży?

*

Dziękuję ci motyłu, lotny władoce tonów.
A gdy grasz to się boisz? Tak. A kochasz? Kocham.
I jeszcze jedno powiedz, jak go wzywasz? Chopin...

Tak dom swój odnalazłem, lecz cisza w mym domu.

trzeba je teraz wykorzystać rozumnie.

Nie bronie wrogów, handlarzy ojczyzną ani obywateli Europy. Bronie tych, którzy chcą do was przystąpić, a których odrzucać i tych, którzy dotychczas nie rozumieli, a uczciwie pragną zrozumieć. Bo jeśli ich odepchniecie — pójdą w objęcia wrogów. A oto przykład:

Znam ziemiankę, młodą kobietę, którą klasa urobiła na obraz i podobieństwo swoje. Moja znajoma odebrała firmowe, sacre-coeurskie czy niepokalańskie wychowanie, uważała się i uważa za dobrą Polkę, katoliczkę i matkę, poza tym — nie ma większych ambicji, nie wymyśliła prochu i nie jest to wcale potrzebne.

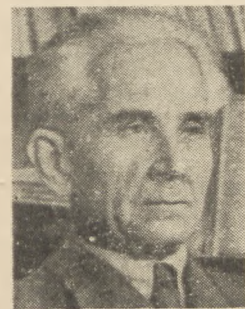
W czasie wojny była wierna mężowi przebywającemu w Anglii, z trudem wychowywała czwórke dzieci, drżała, by najstarszy, dwunasto- czy czternastoletni chłopak nie nawiązał do lasu, utrzymywała killkunastu wysiedlonych, posyłała paczki więźniom, chroniła akow-

mlanie robią odpowiednią propagandę, że są i pozostaną wrogami. Nieprawda! Ta kobieta byłaby inna, gdyby postąpiono z nią inaczej. Zresztą — mniejsza o nią. Ale ta czwórka dzieci? Te plastyczne dusze, w które matka sączy jad nienawiści? Powiedziała mi jeszcze:

— Gwarantuję, że żaden z nich nie wyrośnie na komunistę. Wolałabym by zgineli wszyscy czterej niż żeby jeden z nich miał się zapisać do Partii. Znam ją. Dotrzyma słowa. Jeżeli najstarszy chłopak nie jest jeszcze w podziemiu, to stanie się to z dnia na dzień. Kto będzie odpowiedzialny? Glupia matka? Zapewne, że t a k ż e ona...

Mają prawdę! Wyrągałem im wszystko. Jakże daleko zaszliśmy od pytania wariata i organizacji młodzieżowych. Czy to wszystko ma związek? Poniosło mnie. Poniosło niepotrzebnie. Teraz leżę. Jędrk mi nie daruje, on wie, kto jest sołtysem. Wie też, kto ową „znajomą“ Wszystko jedno. Nie mógł zresztą mieć złudzeń co do opinii Ernestowej o jego ojcu. Sam chyba nie ma

Tradycyjna epika



W „Starym i nowym“ ujmował nas wyzwalający śmiech, który panuje nawet w opisach budzących grozę. Nie był to śmiech beztroski, było w

Budzi zdziwienie, dlaczego wznowienie tej cennej książki ukazało się dopiero po 10 latach i dlaczego wydawnictwo wypuściło zbiór opowiadań Rudnickiego w nakładzie 5.000 egzemplarzy.

A black and white portrait of a man with glasses, looking down. He is wearing a suit jacket and a tie. The image is grainy and has a high-contrast, almost graphic quality.

Tu wracam do porzuczonego na chwilę wątku — do mej wędrowki po Warszawie w „Książka dla Marcina” w teczce. Nie, nie byla to „włóczęga” romantyczna i „bez celu”. Zalatwiałem swoje sprawy, od-
wiedzałem ludzi i instytucje, jeździłem tramwajami i taksówkami. I nic, nic z tej szczególnej Warszawy Andrzejewskiego, Dąbrowskiej, Hertza czy Żuraby — nie znalazłem

Ta Warszawa — niepoznana prze-
ze mnie i bezpowrotnie miniona —
ta, użyjmy terminu „zobiektywizo-
wany” —

Jerzy Andrzejewski: *Książka dla Marcina*, PIW, 1954 r., str. 106.

Teresa Kwiecińska

A jednak. Jednak znalazłem pewien zabawny epizod z dzieciństwa pisarza, który — można z dużym prawdopodobieństwem przypuścić — jest źródłem pomysłu, a nawet pewnych rozwiązań ostatniego opowiadania Andrzejskiego — „Złoty lis”. Myśle o sprawie „wodasu czaju”, o tym, jak Andrzejski uczęszczając do freblówki uderzony został „zadziwiającym (jak mówi) pięknem” dźwięku słów „wodasu czaju”, który to bezsensowny nowotwór uczyniony został przezeń z „woda z ruczaju”, co było motywem śpiewanej w szkole piosenki. Chłopiec żył pod urokiem „wodasu czaju”, popadał w konflikty z rodzicami, którzy nie rozumieli zawartej tu wielkiej poezji, aż w końcu marzenie prysło, bo zniecierpliwiona matka stwierdziła w szkole, że owo „wodasu czaju” jest tylko imaginacją, a „wzeczywystością jest woda z ruczaju”. Czytelnicy „Złotego lisa”, czy nie dostrzegacie wyraźnych analogii między tym drobizgiem z dzieciństwa a pięknym, głębokim opowiadaniem o prawie do marzenia?

Problem, który tu poruszyłem jest z pewnością niewspółmierny z gatunkiem, jaki obrał Andrzejewski. To przecież nie dziennik, nie wierny pamiętnik, ale wspomnienia o charakterze literackim. Jestem więc poza tekstem! Snuję koncepcje!

Leszek Herdegen

○ Klemensie Janickim

Szkoda, że w opisie ojczystych i padewskiej uczelni, życia żaków i rektorów, dworów magnackich i biskupich, nie odnajdziemy już tej żywości barw, tego ciepła, które każde zdanie, każdy fakt prześwieśla

*) Stanisław Czernik: *Opowieść o Klemencie Janickim*. Państwowy Instytut Wydawniczy 1954 r.

Ale ogólnie biorąc, jest ta książka dowodem wzrastającego przekonania o szkodliwości przerostów literatury doradczą dydaktycznej. I o pożytku pouczających gawęd i wspomnień o minionych zdarzeniach życia.

Autor nie zaniedbał niczego, aby dać wierny i dokładny obraz tych czasów, a jednak ta pieczołowicie dobrana mozaika nie zrosła się w jedną organiczną całość. Jest w niej, zdawałoby się, wszystko, co dać może erudycja i trzymająca się jej wiernie wyobraźnia autora. Zabrakło tylko jednej rzeczy: wielkości epoki. Okazuje się, że nawet najbardziej precyzyjnie wykonane rysunek nie zastąpi pędzla Matejki.

A przecież to była naprawdę wielka epoka, pomimo zarodków upadku, kiełkujących w łonie Rzeczypospolitej. Rok 1543 jest nie tylko rokiem śmierci Janickiego, ale również rokiem ukazania się dzieła Kopernika i Reyowej „Rozprawy pomiędzy panem, wojtąm i plebanem”. A zatem rokiem przełomowym w dziejach polskiej literatury i nauki wszechzwiątowej. A te dwa fakty nie wyskoczyły przecież niespodzianie, jak Minerwa z głowy Jowisza. Poprzedzi je musiał łańcuch pewnych zjawisk w ogólnym ruchu umysłowym, które nie mogły przecież ująć wrażliwości Janickiego. Wprawdzie Czernik wyraźnie łączył tematów, nie związanych bezpośrednio z osobą Janickiego, ale w tym wypadku odczuwa się pewną lukę w obrazie epoki. Próbie jej zapełnienia widzimy w scenie u bibliopoli poznającego.

I jeszcze jedno: w pracy niewątpliwie tak źródłowej odczuwa się dotkliwie brak przypisów. Tylko przy niektórych piosencek ludowych znajdujemy odnośnik: „autentyczna piosenka ludowa z XVI wieku”. Ale czytelnik pragnący też się dowiedzieć, jakie fakty i postacie w książce są autentyczne, a jakie są dziełem twórczej wyobraźni autora, która podyktowała mu prześliczny epilog: skrót wspomnień całowiecznych poetów w jego przedśmiertnych majacenjach.

Stefania Podhorska-Okolów

S P R O S T O W A N I E

Ziel Mickiewicz'a" sprostować należy następujące błędy drukarskie:			
		zamiast	powinno być
str. 1	szp. 4 w. 72	licząc się	licząc się
" 1 "	" 4 " 77	naukowo	na nowo
" 1 "	" 5 " 18	golono czy strzyżono	golono czy strzyżone
" 1 "	" 5 " 29	podkreślenie	podkreślenie
" 1 "	" 5 " 37	jak rada	iam rada
" 1 "	" 5 " 44	posłów	poetów
str. 2	szp. 2 w. 39	nlech umrze	nlechał umrze
" 2 "	" 2 " 40	na końcu	na koniec
" 2 "	" 2 " 46-	najważniejsze	mniej ważne
" 2 "	" 2 " 80-82	nie za słowa	nie za słowa
		Chóru młodzieży;	Chóru młodzieży,
		z dale się mówiący	którą poetą jako
		wymienia	mówiącą wymienia.
		Clapack	Crapack
str. 2	szp. 3 w. 22 i 27		

